MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 57. WARSZAWA, 6 GRUDNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY POLITYKA NALEŻY DO CYWILIZACJI?

NIE należy wprowadzać w życie publiczne za wiele teorji, lecz bądź co bądź trzeba się liczyć z tem, że zależy ono w znacznej części od pojęć, od ich określenia, zrozumienia, a zwłaszcza od ich każdoczesnej hierarchji, boć kształty życiu publicznemu nadają pojęcia współcześnie panujące. Ileż np. zła wyniknęło i wciąż jeszcze wynika z zapatrywania, jakoby polityka nie podlegała moralności. Otóż nie o wiele mniej zła pochodzi z mniemania, jakoby polityka nie stanowiła części cywilizacji czy kultury, lecz jakiś dział odrębny, mogący wprawdzie być im równoległym, lecz mogący również biec w innym zgoła od nich kierunku, choćby przecinając cywilizację czy kulturę. Jakoż przecina ją nieraz i nikogo to już nie dziwi. Przywykliśmy do amoralności i acywilizacyjności polityki... teoretycznie.

Jest to bowiem doprawdy tylko czczą teorją, nigdy nie pokrywająca się z praktyką. W rzeczywistości polityka taka jest antymoralną i antycywilizacyjną. Żaden przejaw życia nie da się wyeliminować ni z etyki ni z cywilizacji w praktyce życia zbiorowego; ta praktyka pociągnie to wszystko do boju z daną etyką i daną cywilizacją, a tem samem nieuchronnie do popierania innej etyki, innej cywilizacji. Albowiem w życiu duchowem także nic nie ginie i wszystko dojdzie do miejsca sobie właściwego, do swojej liczby i swojej miary.

Nie sposób wymyśleć jakiś przejaw życia, życia wewnętrznego czy zewnętrznego, któryby nie należał do jakiejś cywilizacji, dodatnio czy ujemnie, podnosząc pewien jej dział, chociażby drobny, lub go obniżając. A czy da się wymyśleć jakikolwiek przejaw myśli, uczucia lub czynu, który, wprowadzony w jakikolwiek sposób na arenę życia zbiorowego, publicznego, nie nawiązałby wcześniej czy później związku z szeregiem przejawów innych, a te znów z innemi i tak coraz dalej? W praktyce życia publicznego wszystko ma związek ze wszystkiem, pośrednio zahaczając o siebie. Gdziekolwiek dotknąć jednej struny życia zbiorowego, wnet się odezwie garść strun pokrewnych i dalej, coraz dalej, w dalszych pokrewieństwach. W rzeczywistości niema tu nic takiego, co byłoby prawdziwie izolowane.

Wszystko a wszystko stanowi tedy cząstki cywilizacji, jako najwyższego i najrozleglejszego z kształtów życia, opartych na czynnikach przyrodzonych. Co tylko może się udzielać i co tylko da się grupować, tworzy życie zbiorowe danej cywilizacji. Ponieważ zaś wytwarzają się rozmaite metody w warunkach i w układzie czynników i przejawów życia, wypływa stąd rozmaitość cywilizacyj.

Cywilizacja jest to metoda ustroju życia zbiorowego.

Mieści się w niej i nauka i sztuka, rzemiosło, szkolnictwo, teorje wszelkich zagadnień i sposoby uprawiania wszystkich działów życia. Niema historji naszej cywilizacji bez Macchiavella czy Monteskjusza, bez Pawła Włodkowica z Brudzewa, Żółkiewskiego czy Cavoura, bez Bismarcka i Windhorsta. Jakżeż z niej wykluczyć historję pojęć? A gdy to przyjmiemy, jakżeż wykluczyć dzieje ich wcielenia, walki o ich urzeczywistnienie? Jeżeli do cywilizacji naszej należą teorje i koleje w praktyce życia publicznego np. nacjonalizmu, konstytucjonalizmu, *Kulturkampf*'u — jakżeż wykluczyć politykę z zakresu cywilizacji?

Jak wszystko, podobnież polityka mieści w sobie zawsze cechy jakiejś cywilizacji. Ile metod życia zbiorowego, tyle rodzajów polityki. I byłaby teorja polityki wielce uproszczoną, gdyby na pewnym obszarze mogła istnieć jedna tylko cywilizacja i gdyby się one nie mieszały.

Ale sama Polska stanowi przykład niejednolitości cywilizacyjnej, mieszcząc w sobie i pielęgnując aż cztery: łacińską, bizantyńską, turańską i żydowską, które wytwarzają rozmaite mieszanki. Bywają to wytwory w zasadzie acywilizacyjne, lecz w praktyce stają do zawziętego boju przeciwko

łacińskiej. Tamte trzy nie mają wprawdzie nic wspólnego, lecz łączą się w zwalczaniu cywilizacji łacińskiej, która jest historyczną polską cywilizacją.

Gdyby polityka polska nie mogłaby być inną, jak tylko ciągiem dalszym historji narodowej w polityce, byłaby stale objawem cywilizacji łacińskiej, stanowiąc jej część. Skoro atoli rozwijają się w Polsce cztery metody życia zbiorowego, mogą też istnieć cztery metody polityczne: żydowska, turańska i bizantyńska, sprzymierzone przeciw łacińskiej. I tak jest rzeczywiście. Podobnież może być w nauce, w literaturze, w sztuce, w szkolnictwie itd., we wszystkiem a wszystkiem, i nie brak też nigdzie objawów takiego stanu rzeczy, coraz widoczniejszych. Polska dostarcza w ten sposób klasycznego dowodu, jako polityki nie da się wyodrębnić od innych dziedzin życia.

Trzeba stanowczo zerwać z mniemaniem, jakoby polityka nie miała nic do czynienia z innemi działami cywilizacji, które zwykło się nazywać sumarycznie „duchowemi". A czyż polityka nie na „duchu" się opiera? Stanowiąc skutek pewnych przekonań, zapatrywań, poglądów czy mniemań, należy również do przejawów życia duchowego, choćby niskich i ujemnych. Zresztą, co w cywilizacji chrześcijańsko - klasycznej, łacińskiej, uchodzi za niskie, to samo może uchodzić w turańskiej za wielce chwalebne.

Cywilizacje, póki choć trochę żywotne, walczą wciąż z sobą, a walki pociągają za sobą wzajemne wpływy. Syntezy możliwe są atoli tylko między odmianami tej samej cywilizacji, np. między kulturą polską a francuską. Absurdem natomiast jest wszelki pomysł syntezy dwóch lub więcej cywilizacyj, bo jakżeż łączyć wykluczające się wzajem metody ustroju życia zbiorowego? Np. łacińska cywilizacja opiera państwo na społeczeństwie, bizantyńska poddaje społeczeństwo nadzorowi państwa we wszystkiem a wszystkiem, turańska zaś nie zna zgoła społeczeństwa, nie posiada całkiem tego pojęcia; jakżeż to pogodzić i złączyć w jedną cywilizację „syntetyczną"? Łacińska jest zwolenniczką rozmaitości, umiejąc właśnie na rozmaitości pogłębiać jeszcze mocniej jedność, gdy tymczasem dla bizantyńca wyda się to absurdem, bo on nie zna innego sposobu na jedność, jak tylko jednostajność. W bizantyńskiej cywilizacji wymuszanie jednostajności, choćby największemi gwałtami, uchodzi za najwyższy obowiązek państwa! Jakżeż godzić to z tamtem?!

Na próżnych dążeniach do jakichś syntez wyczerpała się Polska, a potem Rosja zginęła od swej mieszanki cywilizacyjnej. Nieuchronne wzajemne wpływy zagnieżdżonych obok siebie cywilizacyj, nie mogąc wytworzyć syntezy, wydają z siebie potworki i potwory rozmaitych mieszańców, nigdy nieudałych. Im bardziej mieszańcy tacy wpływają na życie publiczne, tem bardziej m u s i się obniżać jego poziom. Albowiem przy mechanicznem mieszaniu się cywilizacyj zwycięża z a w s z e niższa, nigdy wyższa! Sama mieszanka trwa też stosunkowo niedługo, i proces wzajemnych wpływów kończy się zanikiem cywilizacji wyższej. Tak rzymska ustąpiła Wschodowi (głównie syryjskim wpływom), tak też za naszych dni następczyni jej, łacińska, cofa się w całej Europie coraz widoczniej przed naporem żydowskim i bizantyńskim, a w Polsce nadto przed turańskim. Czyż mało u nas osób, których serca są niewątpliwie gorąco polskie, lecz mózgi moskiewskie? Oto przykład „syntezy", na który możemy patrzeć we własnym domu.

Nie w jednakim stopniu zaznacza się mieszanka cywilizacyjna, zaraziwszy u różnych osób ilość działów życia jużto mniejszą, jużto większą. Zawsze zaczyna się od jednego jakiegoś działu, poczem zaraza szerzy się na inne. U jednych zaczyna się to od sztuki lub literatury, u drugich od poglądu na sprawy religijne, u innych od wywrotu pojęć o własności osobistej lub o małżeństwie — u niektórych od polityki, względnie od stosunku ich do polityki, uprawianej przez innych.

Tym ostatnim chciałbym poświęcić kilka uwag, a wybieram ich dla przykładu; ich właśnie, ponieważ uciera się coraz bardziej rozumowanie, jakoby można było w tej dziedzinie wyprawiać cokolwiek i wszystko, nie sprzeniewierzając się wcale cywilizacji łacińskiej, umiłowanej i wyznawanej nadal niejako w „krainie ducha".

Złudzenie! Choćby kto umiał na pamięć Dantego i Ariosta, przekroczył Rubikon cywilizacyjny, jeżeli popiera niszczenie organizacyj i robót społecznych przez państwo. Choćby był najznakomitszym znawcą muzeum watykańskiego, rozmiłowanym do zapamiętania się w rzeźbach i obrazach, staje się dezerterem względem cywilizacji łacińskiej z chwilą, gdy minie obojętnie kwestję niezawisłości sędziów. Subtelny esteta odstępuje część swego „ducha" grubemu turanizmowi, skoro zobojętniał na zagadnienie prawa a bezprawia. Wytworny obrońca indywidualizmu w sztuce i literaturze lub w... szkolnictwie, robi sam z siebie karykaturę, gdy nie broni indywidualizmu w życiu publicznem.

Ci wszyscy, stając się powolnem narzędzie cywilizacyj, sprzymierzonych przeciwko łacińskiej, osłabiają ją na terenie najważniejszym: życia publicznego, a przygotowują zanik jej w tych dziedzinach, o których sami mniemają, że są niezdobytemi łacińśtwa fortecami, w których chronią swą łacińskość... Nie na długo! Pojawi się literatura, wielbiąca turańszczyznę, pojawi się sztuka antyłacińska, wyskoczą najniespodzianiej głosy, że Dante nic nie wart, a muzeum watykańskie najlepiej byłoby zniszczyć w interesie... kultury. Oni także powołają się na „walory duchowe", i także zażegnywać będą się od polityki, wiedząc, że tym sposobem trafią do umysłowości coraz słabszych obrońców łacińskiej cywilizacji w zakresie bezpolitycznym.

Gdyby nie było koło nas innej cywilizacji, jak tylko historyczna polska, a więc pewna odmiana łacińskiej, moglibyśmy spokojnie uprawiać nauki i sztuki w zaciszach pracowni, nie troszcząc się o życie publiczne, wiedząc, że ono kroczy równolegle. Ale gdy wszystko kotłuje się koło nas i gdy grozi zaguba cywilizacji łacińskiej, trzeba się zastanowić, czy się nie jest mimowolnym współpracownikiem sił, które nie poprzestaną bynajmniej na polityce, lecz wygnają nas także z pracowni naukowych i artystycznych.

W każdej cywilizacji jest wszystko jednorodne, od poezji aż do polityki. Przejściowym tylko może być stan, w którym polityka byłaby bizantyńska, a wszystko inne łacińskie. Wyłom za wyłomem, aż wkońcu padną mury! Albo cywilizacja łacińska odzyska życie publiczne i politykę, albo straci wszystko.

Polityka nietylko stanowi nieoddzielną część cywilizacji, ale jest zawsze i wszędzie potężnem jej narzędziem, często rozstrzygającem we współ-

zawodnictwie cywilizacyj. Każdy kierunek polityczny dąży do opanowania władzy, a gdy ujmie rządy w swe dłonie, posiądzie wpływ na wiele spraw zgoła niepolitycznych, boć państwo nowoczesne lubi zajmować się wszystkiem na wszystkie strony i wtrącić wszędzie swoje „trzy grosze“ w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, bo ma możność dostarczyć lub niedostarczyć środków pieniężnych, przydatnych podobno i poetom.

Przypuśćmy tedy, że w jakiemś państwie, którego cywilizacją historyczną jest łacińska, polityka (uznana za coś pozostającego poza wszelkim związkiem z zagadnieniami cywilizacyjnemi), przechodzi coraz bardziej na linję bizantyńską, aż w końcu wielbiciele bizantynizmu obejmują rządy. Zaprowadzą jednostajność w administracji, skutkiem czego ani jedna prowincja państwa nie będzie posiadać administracji dla siebie stosownej. Administracja ta będzie przeświadczona, że społeczeństwu wolno organizować się i pracować w sprawach publicznych o tyle tylko, o ile pozwolą urzędy. Nie trzeba będzie długo czekać na kompletne wyjałowienie społeczeństwa, a rząd gotów to uważać właśnie na oznakę siły państwa! W Bizancjum nawet malarstwo miało „przepisy”, a społeczeństwu wolno było wreszcie organizować się tylko w kluby sportowe.

A cóż dopiero działoby się, gdyby doszedł do władzy kierunek turański? Wszyscy esteci musieliby chyba wyemigrować! Drukarstwo stałoby się monopolem rządowym.

Tam gdzie wre walka cywilizacyj, polityka bywa zrazu języczkiem u wagi, a potem rozstrzyga o hegemonji jednej cywilizacji nad innemi. A wobec tego lepiej uznać zawczasu ten fakt oczywisty, że polityka należy do cywilizacji przynajmniej tak samo, jak sztuka i literatura, a zatem nie można uważać tego za obojętne, że jedno idzie do sasa, a drugie do lasa. Nie można być obojętnym na cywilizacyjny kierunek polityki[1]), bo to jest stanowisko w praktyce życia takie, iż dorzuca się pocisk na ruinę tej cywilizacji, do której jest się — w teorji — przywiązanym.

FELIKS KONECZNY

[1]) Nie o stronnictwo tu chodzi, bo w każdym kierunku cywilizacyjnym są rozmaite.

NIEPRAWDA W ZAŁOŻENIU

(Dokończenie)

III

WYBORY powszechne, równe i proporcjonalne wprowadzają do Izb Ustawodawczych bardzo znaczną liczbę posłów i senatorów nie Polaków. Gdyby te wybory odbywały się bez żadnej interwencji ze strony władz administracyjnych, to liczba posłów i senatorów obcej narodowości dosięgłaby zapewne 33 % ogólnego składu Izb tj. procentu ludności obcoplemiennej w stosunku do całej ludności Państwa. A może nawet przekroczyłaby tę cyfrę, ponieważ znaczna część ludności polskiej na Wschodzie mieszka rozsypana w drobnych grupach wśród przeważającej ludności ruskiej i liczyć się z tem trzeba, że w wielu miejscach grupy te, ulegając przemożnemu naciskowi środowiska ruskiego, głosowałyby na listy nie polskie, albo przynajmniej wstrzymałyby się od głosowania, czego następstwem byłoby zmarnowanie głosów polskich.

Dla tych posłów nie-polskiej narodowości nie jest bynajmniej celem — jak to uroczyście wbrew prawdzie głosi Konstytucja w swym wstępie — „dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny“, ani też — „utwierdzenie Jej bytu niepodległego, potęgi i bezpieczeństwa“. Bo dla nich Polska nie jest „Matką-Ojczyzną“. Oni mają swoje własne ojczyzny, których dobro, w mniemaniu ich, jest nie do pogodzenia z dobrem Polski.

Separatyści ruscy marzą o utworzeniu z ziem wschodnich Polski, w połączeniu z ziemiami małoruskiemi i białoruskiemi, należącemi do Rosji, wielkiej, niepodległej Ukrainy, sięgającej od Karpat do Dźwiny i od Sanu i Bugu, aż po morze Czarne, czy nawet Kaspijskie.

Przeważna część Niemców, obywateli polskich, pragnie powrotu zachodnich ziem polskich do wielkiej ojczyzny niemieckiej.

A Żydzi... jeśli im się nie uda zapewnić sobie decydującego wpływu na rządy w Polsce, a więc uczynić z niej Judeo-Polski, to dążeniem ich jest w każdym razie osłabienie Państwa i poddanie go pod supremację, jeżeli nie pod panowanie sąsiadów, przedewszystkiem Niemców, a to w myśl dyrektyw, idących z centrali światowej, dla której istnienie Polski samodzielnej jest zawadą.

Nieprawdą jest więc, co głosi Konstytucja w art. 20, że posłowie, a zatem wszyscy „posłowie są przedstawicielami całego Narodu“ t. zn. polskiego Narodu. W rzeczywistości oni są przedstawicielami własnych tylko narodów. Główną, jeśli nie jedyną, wytyczną ich działalności politycznej w parlamencie i poza nim jest walka z Państwem i Narodem Polskim, przeszkadzanie mu w ugruntowaniu podstaw jego bytu, tamowanie jego rozwoju, rozstrajanie wewnętrznego jego życia. Nie dobro Polski, ale jej zgubę mają na celu, bo na jej gruzach chcą budować niepodległość i potęgę własnych narodów i państw.

A najlepszym środkiem, służącym do tego celu, jest przeszkadzanie, uniemożliwianie, by w Sejmie powstała trwała, silna większość. Bo gdy jej niema, to niema też trwałego, silnego Rządu. A bez takiego Rządu, Państwo trwa w bezwładzie i nierządzie. Musi więc z nieubłaganą konsekwencją chylić się ku upadkowi, — iść ku zagładzie.

Już sam fakt istnienia w Sejmie tak wielkiej masy obcoplemiennej uniemożliwia utworzenie trwałej większości sejmowej, choćby nawet w obozie polskim istniała silna tendencja do przezwyciężenia różnic partyjnych i do konsolidacji.

Prosty rachunek to stwierdza.

Przyjąwszy w myśl powyższych uwag, że w Sejmie jest 67% posłów — Polaków, trzeba dla powstania większości, aby conajmniej 75% ich weszło do niej, skupiło się w jednym obozie.

(67% na 444 posłów stanowi 297 posłów polskich. Większość absolutna wynosi 223. W stosunku do 297 będzie to 75%). W praktyce to nie wystarczy: powinno być przynajmniej 80%, jeżeli ta większość ma coś znaczyć, być trwałą i przy lada sposobności nie zawieść.

Czy nie jest marzeniem przypuszczenie, aby kiedykolwiek jeden obóz polityczny, zdolny do jednolitego działania, do wyłonienia z siebie Rządu, mógł zgrupować w sobie na dłuższy czas $^3/_4$ — $^4/_5$ ogółu polskich posłów?

I nie trzeba rzucać kamieniem za to ani na tych posłów, ani na społeczeństwo. Stoi ono na tym poziomie, zwłaszcza w życiu gospodarczem, że daleko idące zróżnicowanie polityczne jest nieuniknione. Reforma prawa wyborczego, a przedewszystkiem usunięcie lub najdalsze zacieśnienie proporcjonalności niewątpliwie znacznie pohamuje tendencję do różnicowania się. Ale niezmiernie mało jest prawdopodobne, — z rachub praktycznego polityka powinno być wprost wykluczone, — by proces scalania politycznego można było aż tak daleko posunąć. Przemawia zresztą przeciw tej hypotezie doświadczenie wieloletnie, poczynione w innych krajach o ustroju parlamentarnym.

Ale pozatem obecność w Sejmie tej wielkiej masy obcoplemiennej jest stałą, nieodpartą pokusą dla szeregu partyj i klubów polskich do oparcia się o nią i uzyskania przez sojusze z klubami niepolskiemi wspólnej większości, a przynajmniej — jeśli to nie da się osiągnąć, albo wzgląd na opinję w kraju, czy też zakaz własnego sumienia narodowego na to nie pozwala—do przeszkadzania swym przeciwnikom politycznym—Polakom, w tworzeniu własnej przeciw nim większości. Pokusie tej nie oparły się partje lewicowe. A tem łatwiej jej ulegały, że istniał między niemi a większością posłów niepolskich jeden potężny wewnętrzny łącznik: radykalizm.

Radykalne jest całe niemal przedstawicielstwo ruskie i znaczna część przedstawicielstwa żydowskiego: oba te społeczeństwa z instynków swoich, z tradycyj odwiecznych, a także wskutek położenia w jakiem się znajdują, szczególnie są wrażliwe na hasła najjaskrawiej radykalne, wywrotowe.

Ale to nie jest jedyny powód radykalizmu tych przedstawicielstw.

Prowadzą one politykę radykalną także z zimnego politycznego wyrachowania. Albowiem świadome są tego, że radykalizm jest doskonałą, niezastąpioną bronią, taranem do rozbijania więzi społecznej i politycznej Polski, do rozstrajania jej życia moralnego i gospodarczego, a więc w konsekwencji do podważania siły państwowej.

Grupy z wewnętrznych tendencyj radykalne jeszcze wyjaskrawiają swój radykalizm, a grupy z natury swej umiarkowane, zachowawcze, — jak Niemcy i część Żydowstwa, — wbrew własnym interesom, kumają się od wypadku do wypadku z radykalizmem, popierają najjaskrawsze nawet poczynania swych sojuszników, bo taką taktykę dyktuje im nienawiść do Polski, naczelna zasada kierująca całem ich postępowaniem politycznem: szkodzenie Państwu na każdym kroku, przy każdej sposobności, każdym dostępnym środkiem.

Gdyby wyborcy byli wyłącznie, albo w olbrzymiej, decydującej większości Polakami, to nawet obowiązujące dzisiaj prawo wyborcze nie byłoby nieszczęściem, jak nie jest niem w tylu innych państwach.

Bo ogół ich, jak i ogół wybranych przez nich posłów miałby wtedy naprawdę „dobro całej... Matki-Ojczyzny na oku". Ciało wyborcze, nie z imienia tylko, ale ze składu swego istotnie polskie, niewątpliwie, prędzej czy później, położyłoby kres rozbiciu przedstawicielstwa narodowego na mnogość partyj, klubów, skoro doświadczenie nauczyłoby, że ono uniemożliwia powstanie większości i utworzenie prawdziwego Rządu, że bez niego Państwo musi wejść w ślepy zaułek, z którego jedynem wyjściem może być tylko przewrót lub zamach.

W Sejmie rzeczywiście polskim większość i to poważna większość wnet stałaby się umiarkowaną. Bo większość narodu polskiego jest z ducha, z instynktu i z właściwego mu trzeźwego poczucia rzeczywistości przeciwna radykalizmowi.

W początkach istnienia Państwa, w zamęcie, który powstał po zakończeniu wojny, nieuniknione było radykalizowanie. Ale zetknięcie z realnemi warunkami i potrzebami życia, szkoła doświadczenia, codziennie nabywanego w ciągłem obcowaniu z wielkiemi zagadnieniami politycznemi, gospodarczemi, socjalnemi, pod wpływem tego wzrastające poczucie odpowiedzialności za losy Państwa i Narodu, wnet uleczyłyby tę gorączkę wieku dziecięcego i sprowadziłyby działalność praktyczną większości i Rządu na wypróbowane gdzieindziej tory rozwagi i umiarkowania.

* * *

Gorzkie owoce przyniosła nieprawda, tkwiąca w założeniu Konstytucji. Proklamuje ona, że Polską włada Naród Polski, że on jest jedynym jej gospodarzem, jakby nie wiedząc, czy nie chcąc wiedzieć, iż obok niego zamieszkuje ją wielomiljonowa rzesza innych narodów.

I na tej fikcji opierając się, buduje taki ustrój, który mógłby zapewnić Państwu spokojny rozwój i trwały byt pod tym jedynie warunkiem, gdyby ono było narodowo jednolite.

A mianowicie, zrównuje bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń w prawach politycznych te miljony obcoplemienne z Polakami, dopuszcza je w najszerszej mierze do uczestnictwa w ciele politycznem, decydującem o losach Państwa, znowu, jakby nie wiedząc, czy też świadomie zasłaniając oczy na to, że one w masie swej są wrogo usposobione do Państwa i że ta nienawiść do niego musi je scementować w jednolity front bojowy przeciw niemu. Składa władzę zwierzchnią w Państwie w ręce jakiegoś fikcyjnego „Narodu politycznego", bezwzględnie niezdolnego do powzięcia i przeparcia jakiejkolwiek woli, bo w jego łonie zmagają się, ścierają, wzajemnie ubezwładniają i paraliżują dwie sprzeczne sobie wole: wola Narodu Polskiego, który chce budować własne silne Państwo Polskie, i wola innych narodów, zespolonych w jednem uczuciu — nienawiści do Polski i sprzymierzonych w jednem działaniu — na zgubę jej.

Po 7-u latach szamotań wśród tej tragicznej sprzeczności, pomściła się nieprawda, załamał się ustrój, Polska stanęła i... stoi nad brzegiem przepaści.

Stoczy się w nią, jeśli nie naprawi swego ustroju, a przedewszystkiem jeśli tego nie dokona, aby On, Naród Polski, sam budował swe Państwo, aby nikt nie mógł mu w tem przeszkadzać, aby on był panem swoich losów i twórcą swej przyszłości.

Nie utrzymamy niepodległości, jeśli wola nasza, zmierzająca ku jej utrzymaniu i utrwaleniu, będzie stale paraliżowana przez wolę wrogów tej niepodległości, obywateli naszego Państwa, posługujących się tem obywatelstwem i opartem na niem równouprawnieniem politycznem do działania na jego zgubę.

STANISŁAW KASZNICA

OD WOLNEGO HANDLU DO „PIATILETKI"

NIE MOGĘ pozostawić bez odpowiedzi artykułu p. Zygmunta Raczkowskiego w № 53 „Myśli Narodowej" p. t. „Kręte drogi"[1]). Osobiście z pewną przykrością wdaję się w polemikę z p. Raczkowskim, gdyż we wszystkich jego dotychczasowych wystąpieniach publicznych wysoko ceniłem jego talent publicystyczny, połączony z niezależnym od wszelkich modnych doktryn sądem i zawsze głębokiem ujęciem przedmiotu. Atoli tym razem, mam wrażenie, że p. R. oparł swoje rozumowanie na błędnych i niedostatecznie przemyślanych przesłankach, a dążąc do udowodnienia swojej tezy, posiłkował się cyframi, odbiegającemi od rzeczywistości. Ta ostatnia okoliczność sprawia, że p. R., wychodząc z zupełnie słusznego założenia o szkodliwości międzynarodowego kapitalizmu, opartego na niezdrowej spekulacji, żerującego na najniższych instynktach ludzkich, obcego ziemi i społeczeństwu oraz pozbawionego wszelkich walorów moralnych, uzasadnia swoje twierdzenie przykładem dwóch polskich przemysłów: cukrowniczego i węglowego, właśnie najściślej związanych z ziemią i środowiskiem, a zatem zgodnych z ideałem Piotra Gaxotte'a, cytowanego przez autora, „o kapitale przywiązanym do gleby, do rodzin i do narodu".

Oczywiście, nie można zamykać oczów na fakt, że przemysły te, z natury swej rodzime, są powoli opanowywane przez anonimowy kapitał, wprowadzający do nich wysoce szkodliwe i słusznie przez p. R. potępione praktyki rozrzutności w administracji, w postaci nadmiernych pensyj administratorów, wielkiej ilości synekurzystów i olbrzymich kosztów reprezentacyjnych.

Jest to niewątpliwie objaw niepokojący, zwłaszcza w dziedzinie cukrownictwa, które do niedawna, pracując w normalnych warunkach, dążyło do jaknajsilniejszego związania tego przemysłu z interesem producentów buraka, będących w wielu wypadkach faktycznymi właścicielami przedsiębiorstwa.

Nie można jednak oddawać się wobec tego uczucim krańcowego pesymizmu i rezygnacji, przebijającym we wniosku p. Raczkowskiego, który proponuje nam ni mniej, ni więcej, jak zniszczenie obu przemysłów, produkujących za drogo, a więc nieekonomicznie.

W sprawie węgla, autor nie wypowiada się zupełnie wyraźnie, natomiast nie waha się skazać na zagładę całego cukrownictwa polskiego, byle tylko umożliwić konsumentowi spożycie cukru po cenie eksportowej 27 gr. za kilo, t. j. cenie, z której korzystają, jak się wyraża autor, „szczęśliwe narody, nie mające własnego przemysłu cukrowniczego". Wnioskiem tym autor przenosi myśl naszą w sferę wspomnień bardzo wczesnej młodości, gdy żyli jeszcze ostatni Mohikanie teorji wolnego handlu i niczem nieograniczonej gry interesów ekonomicznych, którzy, wbrew wszelkiej rzeczywistości, nie przestawali twierdzić, że istotnym regulatorem życia gospodarczego winno być dobro konsumenta. Ten ostatni, byle mu tylko nie przeszkadzać w wyborze najtańszego towaru, potrafi bez niczyjej pomocy osiągnąć najwyższy stopień pomyślności i dobrobytu.

Autor omawianego przez nas artykułu nie zadowala się powrotem do przebrzmiałych haseł *laissez-faire*'yzmu, lecz wyciąga z nich konsekwencję w postaci koncepcji zupełnie nowej i, co więcej, wzorowanej na ideach, płynących ze współczesnego wschodu, którą nawet nazywa terminem technicznym „piatiletki".

Czytelnicy „Myśli" niezawodnie przypomną sobie, że koncepcja p. R polega na powierzeniu troski o uzdrowienie nienormalnych stosunków cukrownictwa polskiego władzom rządowym, którym zgóry suggeruje on prosty nadzwyczaj sposób załatwienia całej sprawy. Oto wydadzą one dekret, głoszący, że odtąd „plantowanie buraków cukrowych i wyrób cukru są surowo zakazane".

Motywem tego zdumiewającego dekretu, prześcigającego w swym radykalizmie wszystko, co wymyśliły dotychczas najbardziej etatystyczne mózgi, byłoby, zdaniem autora, naprawienie krzywdy, jaka się dzieje konsumentowi, skutkiem różnicy pomiędzy ceną eksportową cukru 27 gr. za kilo, a wewnętrzną 1 zł. 15 gr.[2]), równającej się 88 groszom, co przy spożyciu wewnętrznem 357 tysięcy tonn czyni 320 miljonów złotych. Otóż rząd—według projektu p. R. — wydawszy swój drakoński zakaz, pokryłby całe zapotrzebowanie wewnętrzne przez zakup cukru zagranicą po cenie 27 gr. za kilo. Przytem autor zauważa nawiasowo: „jasnem jest, że jeśli po tej cenie sprzedajemy, to również po tej cenie można kupić". W tem rozumowaniu tkwi błąd zasadniczy, bo przeciwnie jasnem jest dla mnie, że nastąpiłaby wtedy poważna zwyżka cen cukru. Polska jako trzeci, a w następnych latach drugi z rzędu po Czechosłowacji eksporter europejski, ma według słynnego planu Chadbourne'a przydzielony kontyngent eksportowy 308 tys. tonn wobec 1.342 tys. z innych krajów europejskich. Gdyby więc zaprzestała produkcji cukru, to eksport jej łącznie ze spożyciem wewnętrznem (około 350 tys.) wyraziłby się cyfrą 650 tys. tonn, od ktorych uwolniłby się rynek europejski. Stanowiłoby to połowę eksportu krajów europejskich, a około 15% ogólnego kontyngentu eksportowego, z Kubą i Jawą włącznie, wynoszącego 4.400 tys. tonn.

Oczywiście taki samobójczy krok Polski byłby przyjęty z entuzjazmem przez jej konkurentów, którzy nie omieszkaliby skorzystać z wytworzonej próżni, by w tym stosunku podnieść cenę cukru.

Dalej projekt p. R. przewiduje, że rząd, pozbywszy się przytłaczającej go zmory cukrownictwa, obniżyłby cenę detaliczną zakupionego cukru o 30 gr., na czem konsumenci zyskają okrągłe 100 miljonów zł., przyczem akcyzę i komisowe pozostawia się w dotychczasowej wysokości. Mniej hojnym okazał się p. R. w stosunku do innych kategoryj obywateli polskich, których zakaz produkowania cukru przyprawi

---

[1]) Zamieszczając poniższy artykuł polemiczny, nadesłany nam przez znakomitego znawcę zagadnień rolniczych, p. Marjana Kiniorskiego, zaznaczamy, iż do dyskusji w omawianej sprawie wypadnie nam jeszcze powrócić. (Przyp. Red.)

[2]) Aczkolwiek niektóre cyfry, podane przez autora, zawierają pewne drobne niedokładności, jak cena cukru 1 zł. 15 gr. zamiast 1 zł. 60 gr., to jednak nie prostuję ich, aby nie przedłużać moich wywodów.

o bankructwo, albo, co gorzej, zepchnie w szeregi bezrobotnego proletarjatu. Albowiem przeznaczy na odszkodowanie, czy wynagrodzenie plantatorów buraków, robotników rolnych i cukrowianych zaledwie 55 milj., przyczem ani na chwilę nie wątpi, że niektórzy z obdarowanych, jak np. plantatorzy, przyjmą odszkodowanie 100 zł. na hektar plantacji „z pocałowaniem ręki". Jak bardzo myli się w ocenie uczuć wdzięczności plantatorów, o tem wspomnę jeszcze w toku dalszych wywodów. Narazie zaznaczam, że głodowe normy, jakie z projektowanych 30 milj. odszkodowania przypadną obu kategorjom robotników (według mojego obliczenia około 500 zł. na rodzinę rocznie), wywołałyby w tych licznych rzeszach nędzarzy uczucia, nie mające nic wspólnego z wdzięcznością, które siewcy przewrotu społecznego postaraliby się dla swych celów wyzyskać

Pozostałe z zysków na rządowej sprzedaży cukru sto kilkadziesiąt miljonów ma być użyte na kredyty dla rolnictwa i rzemiosł, które w końcu pierwszej „piatiletki", skutkiem niezawodnego zwiększenia się konsumcji, wzrosną do sumy około 1.000.000 złotych. Wtedy to nastąpi złoty okres „piatiletki", w którym stopa procentowa spadnie do 7%, cena cukru będzie obniżona przez rząd dla uprzywilejowanych konsumentów o dalsze 30 gr., odszkodowanie dla produkujących jako czynnika mniej wartościowego, oczywiście ulegnie redukcji i, jak twierdzi autor, „można będzie dokonać wspaniałych rzeczy, a nawet umożliwić Polakom spożycie cukru po tej samej cenie, jaką dziś płacą za polski cukier dla duńskich i angielskich świnek". P. R. jest tak olśniony swoim projektem, że wątpi nawet, „czy kto będzie w stanie obalić podstawy finansowe tej pierwszej „piatiletki" bardzo hojnej i nie bolszewickiej"[3]) opartej na skasowaniu tak kosztownego dla konsumenta polskiego przemysłu cukrowniczego".

Otóż w tem Szanowny Autor gruntownie się myli, bo przeciwko jego projektowi, wkraczającemu w dziedzinę szkodliwej utopji, wypowie się cały legjon ludzi, którzy nie przestali myśleć kategorjami gospodarczemi i którzy dotychczas, wbrew teorjom socjalistycznym, nie mogą uwierzyć we wszechpotęgę państwa w administracyjnem regulowaniu zjawisk życia gospodarczego. Nieograniczone zaufanie, jakiem darzy autor władze rządowe, nie zdoła przekonać tych, co z zupełnie zrozumiałym sceptycyzmem odnosić się będą do masowego wzięcia na utrzymanie przez rząd pewnej ilości obywateli, którym będzie się wydzielać odszkodowania, subsydja, świadczenia i pobory. Bo jakież olbrzymie pole otwiera się tu do wszelkich nadużyć, do dręczenia ludzi, pozbawionych środków utrzymania, przewlekłością manipulacyj, biurokratycznych, jakąż wreszcie potężną broń daje się organom władzy rządowej do wywierania nacisku politycznego na sumienia ludzi, finansowo zależnych od rządu. Dlatego niech się nie dziwi autor, że choćby nawet projekt jego z punktu widzenia kalkulacji gospodarczej był bez zarzutu, to już sama tylko obawa przed nowym i na tak szeroką skalę stosowanym eksperymentem etatyzacji życia gospodarczego, musiałaby wywołać liczne zastrzeżenia i protesty. Cóż dopiero, gdy cyfrowe dane, wzięte za podstawy projektu, niczem nie usprawiedliwiają fantastyczności pomysłu, a często nie odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy.

Wspomniałem już, że punktem wyjścia całego rozumowania w sprawie cukrowej jest różnica 320 miljonów, nadpłacona przez konsumentów. Starając się udowodnić, że korzyści producentów nie usprawiedliwiają tej nadwyżki, autor przeprowadza rachunek, oparty na fikcyjnych cyfrach. Mianowicie, ustalając ilość przerobionych buraków na 45 miljonów ctn. i określając cenę, oscylującą zaledwie około 3 złotych, szacuje wartość całego surowego produktu na 130 miljonów złotych.

Widocznie źródła, z których autor czerpał swoje informacje o cenie buraków, nie były dość wiarogodne, bo gdyby był zbadał kwestję dokładniej, to przekonałby się, że nawet przy dzisiejszem skontygentowaniu produkcji i obniżeniu cen, przeciętna cena, nie licząc świadczeń w naturze, jak naprzykład wytłoki i t.p. sięga do zł. 4.50 gr., a w pewnych wypadkach do zł. 4.75 gr., skutkiem czego rolnictwo dostaje nie 130, ale zgórą 200 miljonów złotych.

Następnie ułatwia sobie autor znacznie rachunek, wspominając zaledwie mimochodem, lub pomijając milczeniem inne koszty produkcji, jak zarobki robotnicze, pensje urzędników, koszty transportu, remontu maszyn, materjałów pędnych i t. d., które napewno przenoszą 100 miljonów, oraz twierdząc trochę gołosłownie, że, ponieważ cukrownie są w obcych rękach i finansowane są z kredytów zagranicznych, więc reszta dochodu w znacznej części idzie zagranicę. W rezultacie, zamiast dwóch 300.000.000 sum po obu stronach, otrzymuje on cyfrę 130 miljonów zysku i 320 miljonów straty, a z tego zestawienia bierze asumpt do wniosku, że skórka nie starczy za wyprawę. — Jak nisko szacuje p. R. usługi rolnictwa, o tem świadczy lekceważący ustęp jego artykułu o przyjęciu przez rolników 25 miljonów odszkodowania, jako daru niebios „z pocałowaaiem ręki".

Pozwolę sobie poinformować autora, któremu widocznie obce są tajniki produkcji rolnej, że różnice pomiędzy hektarem obsianym żytem a zasadzonym burakami, przy cenach ostatnich 2-ch lat i przy średnio dobrym urodzaju, wahają się od 600 do 800 zł. na hektarze. Innemi słowy, sama strata rolnictwa na skasowaniu 250 tysięcy ha plantacyj wyniesie od 150 do 200 miljonów złotych.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi rozwodzić się obszernie nad bezspornym i powszechnie wiadomym faktem, że uprawa buraków wpływa na podniesienie kultury i wydajności ziemi przy produkcji wszystkich innych ziemiopłodów. Skutkiem tego zaprzestanie plantacji buraków zaznaczyłoby się spadkiem urodzajów całych warsztatów rolnych, a więc na przestrzeni 7 do 8 iu razy większej od 250 tys. ha, poświęconych uprawie buraków. Jednocześnie bylibyśmy świadkami deprecjacji cen ziemi w wielkich połacjach kraju, w których dotychczas, dzięki wzmożonej produkcji, ceny te utrzymywały się na wyższym poziomie. Jeżeli do tych ujemnych objawów dodamy wzrost bezrobotnych, rekrutujących się ze zwolnionych robotników rolnych i cukrownianych, poważne szczerby we wszystkich przemysłach, dostarczających swe wyroby do cukrowni, znaczne zmniejszenie zużycia nawozów sztucznych, zniszczenie środków komunikacyjnych, jak szos,

[3]) Podkreślenie moje.

utrzymywanych przez fabryki, lub gęstej sieci kolejek dojazdowych, to dojdziemy do cyfry strat, sięgających miljardów złotych. Cała ta *tabula rasa*, przekreślająca istnienie jednego z najbardziej związanych z ziemią przemysłów polskich i niwelująca pod względem kulturalnym zachodnie i centralne dzielnice kraju do poziomu zacofanych Kresów Wschodnich, ma się odbyć jedynie w celu obniżenia ceny cukru o 30 gr., które na głowę konsumenta uczynią około 3 zł. 60 gr., a więc kwotę, stanowiącą bądź co bądź drobny ułamek w ogólnych kosztach utrzymania rodziny.—Innemi słowy, dla przeciwdziałania chwilowej, niepomyślnej konjukturze, dokonanoby wielkiego dzieła zniszczenia. Mówię chwilowej, bo dzisiejsza sytuacja, wywołana konkurencją krajów podzwrotnikowych, nie będzie trwać wiecznie i musi prędzej czy później ulec jakimś zmianom. — Nie wdaję się w przepowiednie, w jakim kierunku pójdą te zmiany.— Sądzę tylko, że nasze pokolenie, które przeżyło kataklizm wojenny, powinno pamiętać dobrze, jak wielką w tych latach głodowych było dla nas ulgą posiadanie własnego przemysłu cukrowniczego,—a któż nam zaręczy, że podobna sytuacja nie może się powtórzyć? Dlatego musimy uważać projekt „piatiletki“ p. R. nietylko za fantastyczny, ale za szkodliwy. Jest to istotnie dziwna mieszanina zadawnionych nałogów myśli demokratycznej, dążącej do podziału bogactw i ograniczonej do bezpośredniej teraźniejszości, z przebrzmiałemi hasłami wolnego handlu i to w formie skażonej, bo przewidującej ingerencję państwową, na którą wzdryga się dusza prawowiernego wyznawcy Smitha. Nie jest to byuajmniej, jak twierdzi p. R. „szukanie własnej myśli gospodarczej“, lecz sięganie po wzory do myśli obcej i wrogiej. Bo chociaż p. R. podkreśla z naciskiem, że jego „piatiletka” nie jest bolszewicką, to doprawdy trudno dopatrzyć się w niej cech, odróżniających ją od prawodawstwa naszych wschodnich sąsiadów. Chyba tylko pewne nieśmiałe próby odszkodowania obywateli za poniesione straty, no i brak groźby, że w razie przekroczenia zakazu, winni będą postawieni pod ścianą.

MARJAN KINIORSKI

DŁUGIE NOCE

(SYMBOLIKI „WESELA” cz. II)

(Dokończenie)

4

Z DALSZYCH scen „Wesela” niewątpliwie najważniejszą jest rozmowa Dziennikarza ze Stańczykiem. Żeleński daremnie się stara rehabilitować konterfekt Rudolfa Starzewskiego, odmalowany przez Wyspiańskiego. Dziennikarz w „Weselu” — to postać zdecydowanie ujemna: to jeden z owych „poetycznych młodzieńców” Szujskiego, o których mówiliśmy powyżej; to prowincjonalny Hamlet, nie mający siły „zerwać obroży”, to skończony relatywista („Rzeczy serjo niema; wszystko jest prowizoryczne: przekonania, opinje, twierdzenia”); człowiek, niezdolny do głębszych uczuć, co „ma swoją bibułę, żeby każdy ból przeszedł“; to jeden z tych ludzi wreszcie, o których poeta rosyjski, Niekrasow, powiada:

> Suždieny im błagija porywy,
> No swierszyt' niczewo nie dano.

(Dlaczego Boy broni właśnie Dziennikarza? Odpowiedź łatwo wysnuć z powyższej jego charakterystyki).

5

A teraz rozmowa Gospodarza z Wernyhorą. Według St. Estreichera, Wyspiański na weselu Rydla, patrząc na matejkowskiego Wernyhorę, wiszącego nad stołem Włodzimierza Tetmajera:

> „zadał sobie pytanie: coby to było, gdyby nagle z tej ściany zstąpił Wernyhora, przynosząc wieść, że wypełnia się jego proroctwo i że przyszedł czas wyzwolenia z niewoli? Jakieby to wrażenie wywołało na obecnych? jaki skutek wywarłoby w całym narodzie?“ [1]).

W scenie więc tej należy szukać zarodu całego dramatu. Postać Wernyhory i przyniesiony przezeń Złoty Róg pozostają w stosunku odwrotnym do Chochoła: Chochoł pokrywa „jutro” niepopętną szatą dzisiejszości, aby krzew różany nie zwiądł na wichrze; Wernyhora głosi, że jego Złoty Róg ma tę właściwość cudowną, iż „na jego rycerny głos spotężni się Duch, podejmie los”, że trzeba tylko, „słuchać ślepo, wierzyć święcie“ i, „wytężać słuch“, słowem, że „jutro” przyjdzie do nas samo, przez tajemnicze „rozpoczęcie”.

Tak więc Chochoł, symbol dwój-jedyny, to rzeczywistość; zaś Wernyhora ze swym Złotym Rogiem — to marzenie, wiara w cud. Czyż jest tedy jaka wątpliwość, po której stronie staje Wyspiański?

I oto następuje katastrofa: w oczekiwaniu cudu weselni goście zasypiają, owłada nimi czar, ten sam, który w „Krakusie“ Norwida roztaczał dokoła siebie smok pod-wawelski. Czuwają tylko: Jasiek otumaniony wprawdzie również, ale mający świadomość, że zwykła codzienna praca winna być pełniona, no i Chochoł. On, niby owe trzeźwe głosy krakowskich historyków po r. 1863, czy warszawskich publicystów pozytywistycznych, szydzi ze złud romantycznych, nasuwanych przez Wernyhorę, i rozprasza ów pierwszy czar, zupełnie obezwładniający gromadę.

Lecz, znowu jak w „Krakusie“, powstaje czar drugi, czar nawiany przez codzienność, przez Chochoła, czar jednak o całe niebo wyższy od pierwszego, będący jak gdyby kwintesencją ziemi polskiej, ożywiony muzyką „jakby z atmosfery b ł ę k i t n e j idącą”. Muzyka ta „w e s e l n a“ oddana jest w antytezach, jak gdyby poeta chciał w niej zawrzeć całość życia narodowego, zarówno te jego przejawy bezwzględnie dodatnie, które symbolizuje krzak róży, jako też tamte inne, o charakterze wegetacyjnym, które nie są twórcze, ani nawet dodatnie, lecz chwilowo mogą być pożyteczne, jako ochrona, jako doświadczenie i próba,

---

[1]) „Przegl. Współcz.“ 1926, nr. 48.

jako sen, jako — śmierć, lecz śmierć w tem znaczeniu, jakie jej nadaje Wyspiański w owej scenie pożegnania Kory z matką, t. zn. Śmierć—jako środek regeneracji, przetworzenia i odrodzenia. Więc muzyka ta jest

„cicha — a skoczna, swoja a pociągająca serce — i duszę usypiająca, leniwa w omdleniu — a jak źródło krwi żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca, jak rana świeża: — melodyjny dźwięk z polskiej gleby, bólem i rozkoszą wykołysany".

I czar ów drugi sprawia ten skutek, że się goście weselni chwytają w pary (może to aluzja do życia rodzinnego, które rychło w „Wyzwoleniu" Wyspiański usymbolizuje znowu w Hestji, wręczającej Konradowi zapaloną pochodnię?), otrząsają się z owego bezwzględnego bezwładu, zasłuchania i zastoju, w którym ich utrzymywał ów czar pierwszy, i wodzą się

„w tan powolny, poważny, półcichy
— we wieniec uroczysty, powolny,
pogodny [2]), — zwartem kołem weselnem".

A Chochoł? — Jego refren, nieustannie powtarzany, jest przedewszystkiem ironicznem stwierdzeniem bankructwa haseł powstańczych, usymbolizowanych w Złotym Rogu, owego roku 1863 zwłaszcza, który mieszczaństwu krakowskiemu, jakeśmy to cytowali powyżej, „caluteńką duszę zjadł". Obok tego jednak Chochoł urąga i innym marom weselnym, owej niechęci do prozy codziennej, pogardzie dla powszedniego obowiązku i rzeczywistości, owemu takiemu marzycielskiemu chłopomaństwu, a także jałowemu rozdzieraniu duszy i tłumieniu serca, skwapliwie chowanego „gdzieś pod czwartą głębszą skibą" — słowem: całemu kierunkowi życia polskiego, które, wedle Wyspiańskiego, winne było obejrzeć się dokoła i przyjąć rzeczywistość i obecność, jako punkt wyjścia nieodparty dla przyszłości.

6

Ale czy dramat na tem się kończy? czy tylko pewien historyczny moment on potępia? lub najwyżej jego refleksy w dniu dzisiejszym? Czy przypadkiem nie wykracza on poza granice owej chwili współczesnej? A może ma on też pierwiastek wieczyście aktualny w sobie? Może np. i do naszego powojennego „dnia dzisiejszego" można go odnieść? I jutro także może doń zaapeluje?

Niewątpliwie — tak. Dramatyczność zakończenia, wiejąca tak suggestywnie ze sceny, gdy kurtyna spada, pochodzi stąd, że dramat właściwie z tą chwilą się nie kończy, że Wyspiański go zaszczepia życiu.

No, dobrze, okrycie słomiane, tające pod sobą krzew róży, jest dobroczynne. Ale czy w tego rodzaju opiekuńczej jego roli tkwi jakaś konieczność? Czy niechybnie ów krzew „na wiosnę ze słomy odwiążą", — jak wieściła Rachela? Czyż on „sam odkwitnie"? A jeżeli nie? Jeśli zapomnimy odrzucić słomę z naszego krzewu, gdy inne róże już będą kwitnąć? Przecież ta pałuba słomiana sama przez się życia nie daje. Ona może wszak i krępować także.

Zakończenie tedy utworu nie jest bynajmniej zdeterminowane optymistycznie [3]), jakkolwiek pozwala mieć nadzieję, że Kora wyjdzie na świat i odwinie słomę z krzewu różanego, że żywotne siły narodu zwyciężą — tak wówczas, gdy Wyspiański pisał swój dramat, jak dziś i po wszystkie czasy. Ale procesy historji, acz również w znacznym stopniu posiadają charakter biologiczny, nie są jednak tak zdeterminowane, jak zjawiska przyrody. To też zakończenie „Wesela" jest prawdziwie dramatyczne dlatego właśnie, że myśl poety przechodzi w życie i winna być podjęta przez każdego z nas zosobna i przez społeczeństwo, jako całość [4]).

7

Wyspiańskiemu szło bardzo wyraźnie o zaszczepienie sumieniu polskiemu tej myśli o wiecznej walce życia ze śmiercią, dokonywającej się przez ciągłe narastanie nowych warstw rzeczywistości (t. zn. twórczości), i o konieczności tej walki, prowadzonej w sposób umiejętny i cierpliwy, oraz o niewybieganiu poza właściwe granice, opatrznościowo nam zakreślone, to też dwukrotnie jeszcze wraca do tego problemu: w „Legendzie II", oraz w „Wyzwoleniu".

„Legenda II", zwana przez krytyków (Sinko) „najsłabszym utworem Wyspiańskiego" [5]), była bodaj ulubionem jego dzieckiem. Przynajmniej to zdaje się stwierdzać list poety do Chmiela z dn. 5 kwietnia 1904:

„Przepisuję „Legendę" i wielką mam w tem przyjemność. Będzie mi się przykrzyło, jak ją skończę... Żal mi jest, że takie rzeczy drukuję. Zdaje mi się, że robię to wyłącznie dla swojej satysfakcji. Jedyny to sposób, by czytać myślą, co było i co będzie" [6]).

Urywek ten daje dużo do myślenia. Chyba się nie omylimy, stawiając przypuszczenie, że poeta widział w „Legendzie" o wiele więcej, niż z niej wyczytują krytycy.

Przedewszystkiem więc, zdaje się, Wyspiański, wprowadziwszy w drugiej jej redakcji (1902) Chochoła, którego nie posiada redakcja pierwsza z r. 1897, pragnął nawiązać nowy utwór wyraźnie do „Wesela". Jeśli się nie mylę, myśl jego była taka: Coby się stało z różą, gdyby ją niecierpliwie i przed czasem wyrwano z opiekuńczej więzi

---

[2]) Należy zwrócić uwagę, że żadne z powyższych sześciu określeń nie posiada charakteru ujemnego.

[3]) Wszelki determinizm: pesymistyczny czy też optymistyczny, zarówno jak absolutny indeterminizm, uzależniający całkowicie życie i historję od woli ludzkiej, nie komplikujący jej działań złożonością charakterów zbiorowości i jednostek, ani przedziwną ingerencją Bóstwa, „wpisującego swe prawa na zdruzgotany głaz kastelu" — wszelkie tego rodzaju jednostronne, racjonalistyczne stanowiska wykluczają w gruncie rzeczy tragizm (Porównaj E. Ermatinger: „*Das dichterische Kunstwerk*", 1921, str. 232).

[4]) I znowu możemy tu łatwo odnaleźć analogję w twórczości Norwida. W „Niewoli", wydanej w r. 1863, którą więc mógł znać i Wyspiański, Norwid, zajmujący niechętne stanowisko wobec powstania, potępiający oczekiwanie tak „ziemskich cudów — rewolucyj", jako też „niebieskich rewolucyj — cudów", po stwierdzeniu, że „zmian wszystko czeka", dodaje: „czeka — i pędzi", dalej jednak rzuca znamienne światło na to „czekanie" przez określenie: „Onym to pędom czekania, bez miary, nie można sprawy rzucać narodowej". (Nie piszę tego, oczywiście, dla ukazania t. zw. wpływu, którego tu — prawie napewno — nie było, jeno dla zwrócenia uwagi na głębsze pokrewieństwo pomiędzy tymi poetami, zwalczającymi romantyzm).

[5]) „Dzieła S. W." Wstęp do I t., str. LXXXIV.

[6]) „Miesięcznik liter. i artyst.", 1911, nr. 2, st. 124.

słomianej? gdyby, jak w owej bajce o królewnie, zamienionej w żabę, owe brzydkie, lecz konieczne pokrycie zostało precz odrzucone, zanim jeszcze powołania swego nie wypełniło?

Otóż ożywiwszy w „Legendzie“ różę w postaci Wandy, a Kraka przedstawiwszy jako tradycję, jako owego Chochoła — opiekuna z „Wesela“, opiewa poeta, jak Wanda pragnie świętokradzko zerwać związek z ojcem. („Jak ocaleć od ojca? Martwica!“). Lecz tradycja, przedwcześnie wyzuta z treści wewnętrznej i oddana na zatracenie, mści się:

„Martwica się dźwiga nad wodę
i dziewkę — rycerza ściga“.

Nie można się bowiem od przeszłości uwolnić, nie wolno się od tradycji emancypować, nie wolno bezkarnie obracać Chochoła w Martwicę, ani też go topić, „nie można się wdzierać w prawa Boże, nie wolno przekraczać normalnych granic porządku świata“ [7]).

Więc Wanda ginie

„bez tę chwalbę, że mówiła,
że wszystko w onej samej siła,
zaś wszystko miała z Boga daru,
z niezgadnionego cudów czaru.
Bo człowiek zasię jest bawiskiem
i sam nie znaczy nic w swej woli,
a jeśli sięgnął Boga błyskiem,
tym dniem kres znaczył swojej doli“.

Następny, w tymże r. 1902 pisany dramat, o ironicznym tytule „Wyzwolenie“, porusza właściwie ten sam problem. Temat to zresztą nadzwyczaj skomplikowany, i nie sądzę, by go już wyjaśniono należycie; tu jednak—z istoty rzeczy— mogą rzucić jeno króciutkie wytłumaczenie, jak ja to widzę.

Konrad się łudzi, że zdoła się wyzwolić z pod czaru sztuki, że zdoła zerwać z Genjuszem, że róża może się już dziś, śród surowej zimy, wydobyć z pałuby słomianej. Konrad zostaje sam na pustej scenie, „na proch się jego myśl skruszyła“. Dręczą go Erynje; on pragnie od nich uciec, lecz napróżno: „Żelaznych wrót żelazna moc!“

Prawda, Wyspiański w pierwszem wydaniu „Wyzwolenia“ popełnił zdumiewający u takiego urodzonego dramaturga błąd: dopisał jeszcze kilkanaście wierszy, zaczynających się od słów:

„Tu dramatowi temu koniec,
lecz myśl... poza ten dramat
wylatuje“ i t. d.

Jednak rychło obudzony trafny instynkt dramatyczny kazał mu w II wydaniu przekreślić to liryczne zniecierpliwienie, i zakończyć utwór temi koniecznemi, suggestywnemi słowami:

Daremnie: ryglem wrota zwarte,
Żelaznych wrót żelazna moc! —

dzieki czemu finał „Wyzwolenia“, a zresztą i cały utwór, tak się upodobnia do „Wesela“, będąc jednak z pozoru nieco bardziej pesymistyczny. Ale ani tu, ani tam poeta nadziei nie grzebie, aczkolwiek jednocześnie nie wątli siły widza przesądzaniem kształtu przyszłości, która przecież od nas samych zależy. Coś jakby u Mickiewicza:

„Nutę pieśni im dawajcie, ale słów pieśni broń Was Boże im dawać“.

Tak więc widzimy, że znaczna część twórczości Wyspiańskiego stanowi konsekwentną całość, acz „Wesele“ wyraża już całą prawdę i inne utwory zasadniczo nic w niej nie zmieniają.

Nie trzeba dodawać, że niepodobna dopatrzyć się jednak u Wyspiańskiego żadnej dramatycznej trylogji, w której skład wchodziłoby „Wesele“. Tego rodzaju dowolne pomysły (Feldman, Sinko) wydrwił już bezlitośnie sam poeta w tylekroć cytowanych listach do A. Chmiela.

STANISŁAW CYWIŃSKI

---

7) Dr. Zdenka Markowic: „Pojęcie dramatu u Wyspiańskiego“, str. 54 — 55.

SONETY

FURIA ADDORMENTATA

Żydzi syna mojego zabili! Bezsilna
W krzyku matki zranionej śpi zemsta mogilna.

Kto ją zbudzi? O. Polsko! Oto krwawa chusta.
Tu ostatnim tchem drżały konające usta.

Dziecko moje! Za strasznym poszedł krzyżem Chrysta,
Kamieniami ubiła go siła nieczysta.

Jękiem z dzwonnic mi dzwonią dzwonne dzwonów dźwięki,
Polski kamień go zabił, a z żydowskiej ręki.

Kto mi pomstę za syna poweźmie — kto dumny?..
Nie furkały Batorych proporce u trumny.

Skamieniała matczyna u grobu rozterka,
Szumią brzozy, na brzozach wróbli sejmik ćwierka.

Jedno tylko tu serce rozdarte na strzępy.
Śnij, synu!, że to orli gwizd i szumią sępy.

Uwaga. W jednem z muzeów Italji jest rzeźba starożytna — cudownej urody głowa kobiety śpiącej — p. t. „*Furia addormentata*“ — Furja uśpiona.

WRÓŻBA HIMALAJÓW

Mój ojciec — Gorisankar, matka — Kinczindżinga,
Brat mój — Dapsang, a ja się zwę Dawalaghiri.
Nad nami nic już niema, jeno mleczne wiry
Gwiazd nocą, a dniem słońca promienista klinga.

U stóp naszych żył niegdyś ludzki ród wyniosły—
Cząstkę jego mądrości księgi Wed zawarły —,
Ale odszedł. Dziedzictwo po nim wzięły karły
I grzech małości swojej po ziemi roznosły.

Na szczytach jednak naszych od wieków świt każdy
I każdy wieczór dawnych wróżb zapala znicze:
Że ujrzy ziemia Władcy zwycięskie oblicze
I zadrży w buntach ludzkiej przeciw niemu wrażdy.

O jego przyjściu orłów nam oznajmią skwiry
I chmur blaski. To mówię ja — Dawalaghiri.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Wycieczka do Drohobycza. — Jedność kulturalna Polski Jagiellońskiej. — Dawniej i dziś. — Żydzi gospodarzami. — Niewesołe sukcesy „myśli państwowej“. — Otucha na przyszłość.

POWRACAM z Drohobycza. W tem doniedawna szybko rosnącem i bogacącem się mieście Podkarpacia, o 12 tylko kilometrów odległem od naftą tryskających Tustanowic i Borysławia, wśród nowych domów ostrym kontrastem odcina się nieopodal rynku stojący, placem cmentarnym od ulic okalających oddzielony, starodawny, gotycki kościół parafjalny.

Postawił go w r. 1392 król Władysław Jagiełło. Solidna budowla zachowała się nieomal niezmieniona, radując oczy tak zrozumiałem dla Polaka pięknem owej swoistej, nadwiślańskiej odmiany *operis francigeni*, prostej, krzepkiej, pogodnej, niczem dusze zwycięsców z pod Grunwaldu. Ciemnoczerwona cegła dostojnej, choć nieozdobnej fasady, masywne, gęsto ustawione szkarpy prezbiterjum, niewysoka, czworokątna dzwonnica, jak baszta obronna. Niejeden jeszcze pozostały po tych wiekach Dom Boży, tą samą wymową kształtu głosi chwałę Pana Zastępów na równinach Wielkopolski, w ziemi krakowskiej oraz sandomierskiej, na piasczystem Mazowszu.

Wiele myśli ciśnie się na widok tej świątyni, ufundowanej w odzyskanym wtedy właśnie kraju podgórskim, w dalekiem województwie ruskiem. Jakże podobnie budowano w Polsce Jagiellońskiej, na północy i na południu, na wschodzie i na zachodzie, jak jednolite były: smak architektoniczny, styl i upodobania epoki! Ten sam gust rozstrzygał o planie kościoła na południe od Dniestru, w Drohobyczu i na północy, nad Narwią znajdował wyraz w późniejszej nieco i wspanialszej, ale jakże duchem bliskiej i pokrewnej, majestatycznej Farze łomżyńskiej. Jakie trwałe wznoszono wonczas pomniki jedności cywilizacyjnej Polski, na tych terytorjach nawet, na których dzisiaj ten i ów z naszych niepokojony bywa wątpliwościami, czy wogóle godzi się tam kulturę polską rozszerzać i umacniać...

Odległy od blasków Jagiellońskiej chwały jest dzień powszedni współczesnej rzeczywistości. Odległy, jak tradycja rycerska Zawiszy Czarnego od epoki „Djabła - Zwycięscy“...

— Niedawno mieliśmy tu jeszcze trzy sklepy polskie — objaśniał mnie mieszkaniec Drohobycza, wskazując cztery strony obszernego rynku — teraz już nie pozostał ani jeden. Sami żydzi...

— A władze miejskie?

— Burmistrza niema od dłuższego czasu. Zastępuje go wiceburmistrz - żyd. Polacy są w radzie miejskiej mniejszością.

Po rynku tłumnie przechadzają się żydzi: szajgece w krótkich *pumps*'ach „oksfordzkich“, otyli, zamożni kupcy, ubożsi rzemieślnicy i pośrednicy. Nie potrzeba być zbyt wprawnym detektywem, by odkryć tajemnicę, że pomimo „spoczynku niedzielnego“ handel odbywa się w najlepsze w pozornie zamkniętych, przysłonionych napół zapuszczonemi żaluzjami żelaznemi sklepach i sklepikach. Zewnętrzne oznaki polskości miasta chwilami wywołują wrażenie prawie bolesne: pocóż „ulica Adama Mickiewicza“, jeżeli gospodarzami grodu są tak widomie czytelnicy Szaloma Asza, Tuwima, Peretza?...

Zresztą miasto naogół „lojalne“, przykładnie „współpracujące z rządem“. Widać jeszcze nawet objawy „romantycznego” entuzjazmu „maluczkich“. Jakiś fryzjer pragnie ściągnąć ku sobie klijentelę, wystawiwszy w witrynie arcydzieło własnej roboty, niezawodnie kosztujące go niemało trudu: „Portret Marszałka” wykonany w całości z włosów różnych odcieni, razem pozwiązywanych i posklejanych. Nietrudno wyobrazić sobie, jak musi wyglądać takie oblicze, calusieńkie uwłosione, z konieczności bardzo sprymityzowane w rysunku. Wszakże ponoć o intencję chodzi: *tamen est laudanda voluntas*...

Wogóle „myśl państwowa“ na prowincji szerzy się i ugruntowuje coraz trwalej. Może tam komisja kodyfikacyjna w stolicy opracowywać nowy projekt prawa małżeńskiego, usuwający całkowicie tradycyjną władzę męża w rodzinie, zapewniający żonie równość bezwzględną i najpełniejszą swobodą postępowania. Może p. Rygier-Nałkowska entuzjastycznie zachwycać się tym trjumfem liberalizmu na łamach „Świata“. Ale praktyczne małżonki urzędników w Drohobyczu uważają nie bez powodu, że na karjery mężów bardzo żałośnie wpłynąć mogłaby okoliczność, iż ich połowice nie okazują należytej gorliwości w „działalności społecznej“ i ociągają się z wstępowaniem do „Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet“. Za „polityczną nieprawomyślność“ lub „prawomyślność“ jednego członka rodziny, pozostali ponoszą skutki solidarnie, niby w dawnym ustroju rodowym.

Zdarzają się też przejawy „myśli państwowej“ bardzo już osobliwe. Opowiadano mi, że w pobliskim Samborze zakazano młodzieży szkolnej, pod grozą wydalenia, wzięcia udziału w Mszy św., odprawionej za spokój duszy śp. Stanisława Wacławskiego. Trudno nawet z punktu widzenia „sanacyjnego“ zrozumieć celowość takiego postępowania. Nie o to chodzi przytem bynajmniej, że skutek takich represyj bywa odwrotny, że zakazy powiększają częstokroć urok rzeczy zabronionej: na nabożeństwo za śp. Wacławskiego popychał młodzież instynkt moralny bez porównania mocniejszy i głębszy, aniżeli zwykły instynkt przekory. Wszędzie tam, gdzie udział w nabożeństwach nie był bynajmniej zakazywany, nieprzeliczone tłumy młodych przepełniały kościelne nawy. Ale czyż ci, co taki zakaz wydawali, nie zdają sobie sprawy, że wspomnienie o tem zarządzeniu wyryje się w pamięci ich wychowanków w sposób niestarty, że pobudzi ich do długich badań i rozmyślań nad pytaniem natrętnem: „Czemu nam zabroniono? Jak się stało, że tego rodzaju zakazy są w Polsce dzisiejszej możliwe?...“

A młodzież raz po raz ma pomysły zupełnie, ale to zupełnie nie „państwowościowe“. Wspominano mi, że ponieważ w Drohobyczu jest tylko jedna księgarnia, żydowska, uczniowie gimnazjalni zorganizowali się, aby podręczniki szkolne sprowadzać i zakupywać wspólnie, hurtownie w którejś z polskich księgarni we Lwowie.

Przyznam się, że ta ostatnia wiadomość, gdy ją usłyszałem, ogromnie poprawiła mi humor. Widziałem chwałę przeszłości Jagiellońskiej w kresowym Drohobyczu, widziałem zapowiedź szczęśliwszej przyszłości. A czemże jest niewesoła teraźniejszość? Punkt jeden na linji czasu, chwila.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

MŁODZIEŻ SANACYJNA ruszyła w niedzielę, dn. 29.XI, pochodem ulicami Warszawy pod Belweder. Zrazu zdumiewała długość węża: posuwający się czwórkami, obejmował (co łatwo było obliczyć) około 500 osób. Skąd tylu „sanatorów“ wśród młodej inteligencji w Warszawie? Okazało się, że sprowadzono ich na ten dzień także z Krakowa, Lwowa, Wilna, Poznania, Lublina, Gdańska, Gdyni i Cieszyna. Odbywał się „I-szy kongres akademickiej młodzieży państwowej“. W tych warunkach zdumienie budzić mogła nietyle długość maszerującej stonogi, ile zadziwiająca opieszałość uczestników kongresu. Przybyło nań (wg. „Gazety Polskiej“ z dn. 29-XI, str. 2) — „zgórą 3000 delegatów“. Pod Belweder dotarło tylko około 500...— pod hasłem „wyścigu pracy“? Wśród wytrwałych tu i owdzie widać było akademików w czapkach. Tu i owdzie — przewyborne typy żydowskie. Ciągnący na całe gardło okrzykiwali się młodzieżą „państwową“, a przechodnie przystawali, zapewne w osłupieniu. „Młodzież państwowa?“. Co to znaczy? A gdzie jest młodzież „niepaństwowa“? Jak sobie ją wyobrazić w Państwie Polskiem, w świetle pojęć o państwowej przynależności? Więc pochód nie-prawników ciągnie, używających pojęcia, którego nie rozumieją? Po dwunastu latach istnienia Państwa Polskiego? Czy może młodzi „sanatorzy“ mają na myśli zwiększenie roli państwa w życiu narodu, rozszerzenie kompetencyj państwa? Ale w takim razie młodzi komuniści, a nawet socjaliści mają o wiele większe prawo nazywać się młodzieżą państwową, a ci — to tylko samochwały. Czy może w swem mniemaniu kochają państwo więcej od innych? Czy aby równo wszystkie jego organy? Czy Sejm narówni z Prezydentem? A może „Młodzież Prezydentowa“ byłoby lepszym skrótem programowym? Jeśli tak — to odkąd tak kochają ten wysoki urząd? Czy od r. 1926 dopiero? Czy wśród tej młodzieży jest kto, zdający sobie sprawę z czczości, z nieodpowiedniości niby-to zawołania, pod jakiem kroczą?

Ta myśl uprzytomniała całą niezwykłość pochodu w trzynastym roku istnienia wskrzeszonego państwa. Na ulicę wysunął się zastęp z hasłem, które w żadnem państwie, tembardziej w żadnem mocarstwie nie miałoby sensu. *La jeunesse de l'Etat? State Youth?* A ci tak się nie zżyli z własnem państwem, że o niem zapomnieć nie mogą. Państwo jest jak powietrze. Żyjemy w niem. To nie żadna nasza zaleta. I ci, czy chcą, czy nie chcą, są państwowi. Leczyć się okrzykiem „państwowym“ — to rodzaj hypochondrji. Przyzwyczajają do niej odłamek młodzieży ci starsi wychowawcy, którzy *de facto*, jeśli nie z intencji, starają się przywiązać umysłowość młodzi na stałe do prymitywnego poziomu początków. A nawet pod presją starszego pokolenia nie wypada „mocarstwowcom“ szeregować się w armję hypochondryków.

POWIEŚĆ „DZIEDZICTWO” WYBRANOWSKIEGO teraz dopiero doszła mych rąk. Po przyczytaniu nie dziwię się już jej rozgłosowi. Pisarskiego wybitnego talentu autor podobno nie ma — zaraz, zaraz! — czemu powieść jego czyta się z takiem zadowoleniem estetycznem? Czemu następna, jaką wziąłem do ręki po „Dziedzictwie”— utwór głośnego w literaturze powojennej beletrysty—wydała się nieznośnie bezładna, z nieznośnym przymusem konwencyj „literackich” napisana? Rzecz Wybranowskiego ma swoją, niezwykle mocną, estetykę: estetykę łacińską. Żadnego przymusu poetyzowania—i, zgódźmy się, żadnej poezji. Wrażenie piękna sprawia tem, że wszędzie znajdujemy bogatą, krzepką treść pod formą skromną. Wysłowienie ubogie — a jak dalekie od banału! Wystarcza zupełnie, pociąga pięknem użyteczności. Wyraża ściśle myśl głęboką, energiczną i jasną. Najbardziej zadziwia suma włożonej w książkę wiedzy o świecie. Taką staliśmy się (w ostatnich zwłaszcza latach) prowincją umysłową, tak zupełnie straciliśmy wyobrażenie o życiu narodów zachodnich, i o cywilizacji europejskiej, że te najgłębsze i najciekawsze dyskusje książki tyle osadzają się w umysłach czytelników, ile woda na piórach kaczki. Poprostu nic im nie mówią. Czytają się, jak fantazje, nad któremi zastanawiać się niema co. „Przecież największem dziełem cywilizacji europejskiej jest to, że wykształciła ona samoistną, indywidualną duszę ludzką, że wyzwoliła ją ze stada, które nad nią panuje u ludów barbarzyńskich. To jest niezbita prawda”... Czytelnik polski z r. 1931 równie mało rozumie, o czem tu mowa, jak drugą tezę: „Jednocześnie z dobroczynnym procesem dojrzewania samoistnej duszy ludzkiej, w cywilizacji europejskiej odbywa się proces inny, niebezpieczny — zrywania węzłów moralnych, łączących te dusze z narodem. Nie jest koniecznością, żeby ten drugi proces towarzyszył pierwszemu”. Jednakże niepodobna mniemać, aby zdarzenie tak niezwykłe, jakiem w naszej literaturze jest powieść Wybranowskiego, nie zaznaczyło się z czasem trwałym śladem w umysłowości młodego pokolenia. Jako praca literacka, imponuje stanowczością, z jaką autor, tak dzielnie posługujący się ubogiem słownictwem, postawił sobie za cel jedynie piękno użyteczności; jako praca publicystyczna niewiele ma sobie równych w dorobku powojennym.

NAUKA I LITERATURA

DEMOKRACJA I KULTURA

DZIEŁO Władysława Wolerta p. t. „Demokracja i kultura” [1]) jest podstawowym podręcznikiem dla ludzi, prowadzących pracę oświatową wśród młodzieży i dorosłych. Ma ono charakter przedewszystkiem informacyjny i przedstawia rozmaite typy organizacyj, kierunków i metod pracy oświatowej, prowadzonej w rozmaitych krajach poza granicami Polski.

Autor podjął się pracy wyjątkowej. Zebrał i przestudjował mnóstwo wydawnictw i materjałów zagranicznych i podał je czytelnikowi polskiemu w sposób objektywny, dając możność każdemu, kto zdobędzie się na wnikliwe przestudjowanie tego olbrzymiego materjału, zrewidowania swojego stosunku do zagadnień, stanowiących podstawy ideowe, organizacyjne i metodologiczne w oświacie dorosłych.

---

[1]) Władysław Wolert, docent Wolnej Wszechnicy, „Demokracja i kultura. Praca oświatowa zagranicą“. Warszawa 1930. Nakładem Wydziału Społeczno-Wychowawczego Związku Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej. Str. 730.

Każdy naród dąży do wyrobienia własnego typu oświaty. Studjując drogi jej rozwoju na podstawie materjałów, przedstawionych przez autora, czytelnik dowiaduje się o stanie tych spraw w poszczególnych państwach.

We Francji oświata jest na usługach demokracji politycznej. Anglja od oświaty, szerzonej przez uniwersytety, Związek oświaty robotników i samorządy, przeszła do instytucyj, kładących nacisk na wychowywanie, co ma miejsce w kolegjach robotniczych, klubach, ogniskach, szkołach i klasach dla dorosłych, którym autor poświęca sporo miejsca. Wyczerpująco przedstawiony jest rozwój i stan ruchu oświatowego w Ameryce, gdzie „oświata jest na usługach demokracji przemysłowej".

Terenem, na którym demokratyzacja kultury znalazła swoisty wyraz, jest Skandynawja. Autor podaje interesujące materjały z dziedziny rozwoju idei Grundtviga i rozwoju internatowych uniwersytetów ludowych w Danji, a następnie podaje materjały do działalności kółek naukowych, jako typowej formy oświaty dorosłych w Szwecji.

Studjum rozdziału, poświęconego Włochom, nasuwa głębokie refleksje w związku z rolą inteligencji, która w narodzie włoskim jest „siłą motoryczną oświaty i wychowania". Charakterystyka oświaty partyjnej (socjalistycznej) występuje przy analizowaniu materjałów, odnoszących się do Belgji i Austrji. Podstawy i sposoby upaństwowienia oświaty i wychowania zestawione są w rozdziale o Czechach.

Typ rewolucyjny oświaty w Rosji sowieckiej przedstawił autor pracowicie i wyczerpująco. Wskazując liczne źródła i materjały, dochodzi do konkluzji, że w tem państwie „niema wolności myśli i sumienia. Prawo do posiadania prawdy mają tylko wybrani, stąd płynie wyłączność i dyktatura nawet w zakresie ducha. Państwo przywłaszczyło sobie monopol na tresowanie dusz ludzkich wedle systemu koszarowego".

Wiele ciekawego i mało znanego materjału zawierają rozdziały poświęcone Szwajcarji, gdzie czynniki emocjonalno-religijne w pracy oświatowo-wychowawczej mają decydującą rolę, a także Niemcom, u których kształtowanie osobowości jednostki w jedności duchowej narodu przyjęto jako zasadę pracy oświatowej. Informując o pracach i problemach oświatowych w Niemczech, autor mówi, że „przypomina to militaryzm i koszarowość, przeniesione tylko w sferę ducha. Ta ideologja nieświadomie zmierza do tego samego celu, co i oświata komunistyczna, tylko innemi drogami i przy zastosowaniu oczywiście daleko precyzyjniejszych środków z zakresu psychologji, techniki i metodologji".

Ostatni rozdział dzieła poświęcony jest organizacjom, działającym na terenie międzynarodowym, jak Y. M. C. A., Y. W. C. A. Wszechświatowy Związek Oświaty Dorosłych w Londynie, Międzynarodowe Kolegjum Helsingör w Danji i t. d.

Praca prof. Wolerta posiada wielką wartość, nietylko informacyjną. Książka jego wypełnia w literaturze naszej brak dotkliwie do niedawna odczuwany, a sposobem ujęcia naświetla celowo i umiejętnie najbardziej palące potrzeby polskiej oświaty i kultury.

Dzieło swoje autor kończy słowami:

„Lud w najszerszem tego słowa znaczeniu potrzebuje oświaty. Nietylko nauki czytania i umiejętności rachunków, lub elementów geografji, czy podstaw ekonomji. Lecz oświaty, któraby stanowiła, jako materjał duchowy, tworzywo przeżyć wewnętrznych. A bez przeżyć duchowych, uzdolniających do etycznie wyższego życia społecznego, niema kultury. Lud trzeba duchowo oświecić i społecznie wychować. Co więcej: nietylko lud, lecz całe społeczeństwo nasze. Od góry do dołu. Od dołu do góry".

JÓZEF DOLIŃSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W „Bibljotece Boy'a" (Arcydzieła Literatury Francuskiej) ukazała się „Podróż do Polski" Balzac'a w przekładzie, oczywiście, samego Boy'a (Żeleńskiego). Rzecz ta, dopiero niedawno ogłoszona drukiem we Francji, jest — jak powiada tłumacz w przedmowie — „epizodem długotrwałego stosunku uczuciowego, jaki wiązał genjalnego pisarza do naszego kraju". Stosunek ów wyrażał się przedewszystkiem miłością Balzac'a do Eweliny z hr. Rzewuskich Hańskiej, z Wierzchowni na Ukrainie.

„Podróż do Polski" jest opisem wędrówki Balzac'a do Wierzchowni, celu długoletnich jego dążeń i marzeń. Opis ten nie może być wprawdzie zaliczony do „arcydzieł" literatury francuskiej, jest bowiem cokolwiek za rozwlekły, miejscami nudny, a miejscami silący się na humor i dowcip, zawiera jednak sporo ciekawych spostrzeżeń o kraju i jego mieszkańcach, a pozatem świadczy o radosnym nastroju duszy wielkiego pisarza, z jakim podążał do swojej ukochanej.

Są tu nadzwyczaj trafne uwagi o Krakowie, o wypadkach galicyjskich 1846 r.. o żydach i chłopach rosyjskich, — uwagi świadczące o wrodzonej mądrości oraz przenikliwości Balzac'a; są jednak i tego rodzaju, które wyrażają doskonale, właściwą mu, naiwność i skłonność do przesady. Polskę np. uważa Balzac za kraj, w którym „znajduje się najwięcej pereł w świecie i gdzie są najpiękniejsze perły".

W związku z pobytem Balzac'a w Wierzchowni pozostają listy jego, pisane stąd do rodziny we Francji. Wydawca „Podróży do Polski" miał dobrą myśl dołączenia ich do opisu wycieczki Balzacowskiej, obfitują one bowiem w bystrzejsze uwagi o kraju poznawanym, od tych, co się znajdują w „Podróży", a co ważniejsza, pozwalają nam wniknąć w istotę uczuć, jakiemi wezbrane było serce Balzac'a w tym okresie, kiedy był bliskim urzeczywistnienia „pieszczonych nadziei" — jak się wyrażał — całego życia.

Marzenie długich lat ziściło się; donosząc siostrze o tem, że w dn. 15 marca 1850 r. został mężem Ewy z domu hrabianki Rzewuskiej, Balzac list swój kończy temi słowy: „Twój brat Honorjusz, u szczytu szczęścia"! Cokolwiekby dało się powiedzieć o „próżności i snobizmie" Balzac'a, entuzjazm jego, w tym, jak w wielu innych wypadkach, był wyrazem szczerości oraz dziecięcej prostoty jego serca.

(W. J.)

*

Wydanie „Literatury polskiej" w języku niemieckim było dla prof. Kleinera jakby przygotowaniem do podjęcia podobnej pracy w języku polskim. To polskie opracowanie ukazało się obecnie (nakł. Ossolineum) w formie podręcznika dla szkół średnich. Ponieważ środowisko czytelnicze, dla którego przeznaczono ten podręcznik, jest zgoła różne od środowiska, któremu służyć miała pierwsza ze wspomnianych książek, przeto i samo ujęcie przedmiotu ma inny charakter. Autor zstąpił z piedestału uczoności na teren łatwo dostępny nawet umysłom nader młodocianym. Dzięki temu otrzymaliśmy książkę miłą i pożyteczną, w zakresie dydaktycznym i wychowawczym należycie przemyślaną i zrównoważoną. Z przedmowy widać, że wzorem Kleinerowi był „podręcznik... tchnący pełnią życia" napisany przed ćwierćwieczem przez prof. Chrzanowskiego (dziesiątemu wydaniu tej książki poświęcimy osobny artykuł); przekonywamy się o tem niejednokrotnie w ciągu lektury samej książki. Zwłaszcza tyczy się to podziałów na okresy: za Chrzanowskim uznaje Kleiner r. 1543 za granicę polskiego średniowiecza, a podręcznik swój zamyka na r. 1795. W poglądach na poszczególnych pisarzy lub na istotę kolejnych prądów umysłowych jest naogół zgodny z Chrzanowskim; czasami jednak rzecz pogłębia lub ujmuje z innej nieco strony (np. wyraziściej i wszechstronniej definjuje barok, ostrożniej wypowiada się w ocenie kulturalnego znaczenia protestantyzmu i t. d.). Najoryginalniej przedstawia się rozdział o Krasickim, gdzie autor zużytkował własne badania nad tym poetą. Jak Chrzanowski, tak i Kleiner uważa żywy i barwny wykład za najlepszy środek nauczania — i z powodzeniem środek ten stosuje. Całość książki

ozdobiona jest szeregiem pięknych ilustracyj oraz zaopatrzona pożyteczną nowością w postaci tablic synchronistycznych. (J. B.)

*

Dla Jerzego Ostrowskiego niewyczerpaną kopalnią tematów literackich stała się Brazylja. Po „Ziemi Św. Krzyża" i „Cathangarze" otrzymujemy już trzecią jego książkę, osnutą na tle stosunków, panujących w tym rozległym kraju. Tym razem na plan pierwszy wysuwają się koloniści polscy. „Dziwny to był naród"—mówi o nich Ostrowski, powtarzając oczywiście opinję innych mieszkańców Brazylji. Przybyli oni mianowicie nie po to, by szukać wrażeń i łatwego zysku, ale żeby — pracować. Ci chłopi polscy przynoszą tu i kultywują wszystkie nałogi i zwyczaje, przeniesione ze „Starego kraju"; obchodzą święta, budują chaty, trzymają się gromadnie, a zwyczaj pracy i karność są w nich tak silne, że ściągają na nich ze strony wagabundów brazylijskich przezwisko „osłów" — za które jednak oni potrafią się odpłacić pięścią... lub czemś cięższem. Od tego szarego ogółu (którego przywódcą jest przepysznie uchwycony chłop — patrjarcha Szuk) odbijają trzy postacie: geszefciarza Messla (mającego w swym charakterze rysy semickie), zblazowanego alkoholika — inteligenta Szumnego i junackiego zawadjaki Kobuza, od którego wzięła tytuł cała powieść („Kobuz", wyd. Gebethner i Wolff). Człowiek ten ma w sobie iskrę wiecznego niepokoju, nie pozwalającą mu długo usiedzieć na jednem miejscu. Żyłka włóczęgowska przywodzi go do tego, iż w chwili, gdy zdobył już — po wielu walkach i trudach — ukochaną i kochającą go Gabriellę, nagle opuszcza ją i rusza w świat, by zginąć w nim bez wieści. W akcję powieści wplótł autor niejedną jeszcze postać, narysowaną tęgo i wyraziście; warci wspomnienia są przedewszystkiem: sługa rządu, a w rzeczy samej szubrawiec i bandyta, porucznik Cataldi, wraz ze zgrają swych konfidentów, oraz dyrektor Reich (pewno „z naszych") obrzydliwie wyzyskujący polskich kolonistów, a łaszący się każdemu, kto górą. (J. B.)

*

Każdy, kto czytał „Włóczęgi" Hamsuna, z zaciekawieniem weźmie do rąk drugą część tej powieści, wydaną właśnie w przekładzie polskim (Biblj. Laureatów Nobla, Poznań). Nosi ona w oryginale tytuł "August Jordomseiler", co znaczy dosłownie „August bywalec" lub „August obieżyświat"; przykład Zegadłowicza wpłynął widocznie na to, że tego Augusta przezwano pogardliwie — „powsinogą". Ale jak się zwał, tak się zwał; dość, że ów August — wcale nie tak głupi, jakby z imienia sądzić można było — jest jedną z najciekawszych postaci, jakie stworzył Hamsun. Jest w nim coś z Zagłoby, gdy zacznie „koloryzować", przedstawiając słuchaczom swoje niezwykłe, coraz to inne przygody, zaznane w dalekich krainach; boki można zrywać, gdy się np. dowiadujemy, że nosi on w swem ciele tyle kul rewolwerowych, iż go w Barbados nie mogli zabrać do samolotu „bo za ciężki byłem z powodu nagromadzonego we mnie ołowiu". Ale na tych bajkach nie kończy się rola Augusta w powieści. Oto osiadłszy na pewien czas w małej osadzie rybackiej, zwanej Polden, zaczyna ten bywalec światowy reformować ją, unowocześniać. Poldeńczycy, porwani jego wymową i olśnieni jego dziwnem szczęściem (niezawsze czystej proweniencji), budują sobie okazałe domy (z których tylko jeden jest opatrzony numerem, bo nikt nie chce mieć numeru drugiego!), fabrykę (bez maszyn), bank (bez obrotów), zakładają poczty, słowem, przerabiają swą osadę na miasto. Te luksusowe nabytki chwilową tylko radość przynoszą mieszkańcom Polden. Oto zimą nadchodzi głód, spowodowany wyzbyciem się wszelkich obszarów rolnych i bydła; o każdy kartofel toczy się walka zaciekła. Ale August, który się szczyci w obliczu śmierci znajomością stosunków zagranicznych, nawet i wtedy nie szczędzi nowych rad i projektów: oto skąpą resztę ornej ziemi przeznacza na — szkółkę hodowli świerków, które jako choinki wigilijne mają stanowić obfite źródło dochodów... za lat kilkanaście. Wszystkie te ekstrawagancje możliwe były tylko na podłożu tego osobliwego społeczeństwa, jakiem jest gromada poldeńska; jedynemi osobami rozsądnemi — więc niepopularnemi — są tu: oszczędna, zawczasu do oszczędności nawołująca sklepikarka Paulina i zawzięty pracownik na roli, chłop Ezra. Galerja typów poldeńskich — z których najważniejsze odgrywały już pewną rolę w I części powieści — jest wprost znakomita. Przekład Cz. Kędzierskiego miejscami zbyt dosłowny, co powoduje pewne niejasności; w przeważnej jednak części płynie wartko i zamaszyście, pociągając za sobą czytelnika. Prowincjonalizmy wielkopolskie (pęchcić, kwarstać, dukwić i t.p.) ożywiają styl, a w pewnym zakresie bogacą naszą mowę. (J. B.)

*

„Z ułanami cesarza Maksymiljana w Meksyku, ze wspomnień oficera, Stanisława hr. Wodzickiego", str. 160, wydała księgarnia D. E. Friedleina w Krakowie. Po upadku powstania 1863 r. wiele partyzanckich oddziałów bliżej granicy zaboru rosyjskiego i austrjackiego schroniło się z terenu Królestwa do Galicji. Rząd austrjacki na początku powstania udawał życzliwą neutralność, a po klęsce, porzuciwszy maskę obłudy, więził powstańców w różnych twierdzach. W jakiś czas potem wybuchła w Meksyku rewolucja przeciw rządowi cesarza Maksymiliana, Habsburga, wprowadzonego na tron przy pomocy, przeważnie zaciężnych, wojsk francuskich i austrjackich. Powstańcom polskim, przebywającym w austrjackich więzieniach, zwracał rząd austrjacki wolność, pod warunkiem, że zaciągną się do formującej się armji, wysyłanej za ocean na pomoc zagrożonemu cesarstwu. Stąd obecność Polaków w tej armji i wojennej awanturze. Autor wspomnień, młody ziemianin, zgłosił się wówczas na ochotnika nie z więzienia austrjackiego, ale ze wsi, w Wielkopolsce, po imieninowem śniadaniu. Fakt ten był nie mniej niespodzianką dla niego samego, jak dla jego rodziny. Decyzję wywołała żądza przygód. W Meksyku walczył z uzbrojonemi partjami „liberałów" i „republikanów", a raczej bandami rozbójników. W czasie wolnym od obowiązków żołnierza próbował zwiedzać okolice tego dzikiego i niespokojnego kraju, mimo dróg nienaprawianych od pochodów Korteza, polował w puszczach i wertepach i tańczył z pięknemi kreolkami zmysłowe i fantastyczne tańce kubańskie na balach, na których podawano wódkę pędzoną z ananasów. Wreszcie po rozstrzelaniu cesarza Maksymiliana przez rząd rewolucyjny, po trzech latach pobytu w Meksyku, wrócił cało do kraju, pozostawiając za sobą wiele mogił polskich. W późnym wieku, w Krakowie, spisał wspomnienia „Z ułanami cesarza Maksymiljana", które są, na marginesie, ciekawym przyczynkiem ery 1863 roku. (A. W.)

*

Nową książkę Stanisława Dzikowskiego „Egzotyczna Polska, z myśliwskiej włóczęgi" wydała księgarnia Gebethnera i Wolffa. Jest to zbiór wrażeń z wycieczek i polowań po puszczach i błotach na Kresach, spostrzeżeń obyczajowych i obrazów przyrody. Egzotyczność książki przejawia się w całej pełni w opisach ogromnych przestrzeni nieużytków i zapadłych kątów, które stratowała stopa Wielkiej Wojny. Widać tu „nadmiar nieużytków, nieproporcjonalny przerost ziemi niesposobnej do uprawy, leżącej odłogiem i niedającej najmniejszej nawet korzyści. Nieraz na tysiące bezużytecznych dziesięcin przypada zaledwie kawałek ziemi ornej. Wszystko domaga się tu wkładów olbrzymich i niestrudzonej, celowej energji... Pługi wyorują pociski armatnie, kule karabinowe, zardzewiałe żelastwo i raz wraz potrącają o zwoje drutu kolczastego. Troski dnia powszedniego przerastają siły ludzkie". Ciekawe anegdoty i wspomnienia zdarzeń z czasów historycznych Polski ożywiają pustkę szlaków, po których niegdyś szły wojska Batorego i Napoleona. Na tem tle galerja także charakterystycznych i pysznie namalowanych typów kresowców, często „ludzi przesiąkniętych do samego rdzenia starą Rosją, mówiących językiem, naszpikowanym rusycyzmami, uwielbiających cygańskie romanse, barszcz ukraiński, Wialcewą, bliny z kawiorem i Dostojewskiego". To też autor, zamiłowany myśliwy, wolał towarzystwo leśników i chłopów-przewodników, wśród tych obszarów mało zaludnionych, gdzie „drogi fatalne, gliniaste, wyboiste w czasie pogody, oślizgłe i rozmokłe po lada deszczu. Podczas jesieni niektóre miejscowości zupełnie odcięte od świata". Ale p. Dzikowski nie zniechęcał się w żmudnym trudzie poznania tych ziem dalekich, a od wieków tak każdemu sercu polskiemu bliskich. Dał książkę pełną świeżej obserwacji życiowej, dzieło talentu, opromienione wiarą w lepszą na Kresach dla kultury polskiej przyszłość. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Znakomity badacz literatury francuskiej, profesor Sorbony, Fortunat Strowski, pod wpływem najpewniej wrażeń, zebranych w czasie podróży do Stanów Zjednoczonych, napisał bardzo interesującą książkę p.t. „*L'Homme Moderne*", w której charakteryzuje cywilizację współczesną, będącą wynikiem niebywałego rozwoju techniki oraz panowania maszyny w życiu człowieka dzisiejszego. W książce tej znajduje się wiele bystrych i słusznych spostrzeżeń, porusza ona sporo zagadnień, związanych z kryzysem duchowym, przez jaki przechodzi człowiek naszej epoki. (W. J.)

*

Ernest Seillière, niestrudzony analityk „choroby romantycznej", po świetnych pracach poświęconych temu przedmiotowi (p. „*Le mal romantique*"; „*Les Mystiques du néo-romantisme*" i t. p.), ogłosił szereg biografij psychologicznych przedstawicieli t. zw. romantyzmem katolickiego. W tej serji prac E. Seillière'a zostali uwzględnieni do-

tychczas Barbey d'Aurevilly i Baudelaire, a ostatnio Huysmans. Ewolucja autora *„A Rebours“*, i *„En Route“* od naturalizmu do mistycyzmu, została tu zbadana i rozwinięta z niepospolitą przenikliwością. (W. J.)

*

Ruchliwa firma wydawnicza Bernarda Grasset'a, której piśmiennictwo francuskie zawdzięcza niejedną dobrą książkę, wydała ostatnio między innemi monografję historyczną p. t. *„César Borgia“*, której autorem jest mało znany badacz P. Rival. Rzecz ta nie przynosi zaszczytu zarówno jej autorowi, jak i wydawcy, wysila się bowiem na danie możliwie najordynarniejszego, najplugawszego obrazu żywota i spraw rodziny Borgiów. Zostały tu skupione wszelkie zbrodnie i bezeceństwa, popełniane przez członków tej rodziny; a wszystko to przejaskrawione i z lubością rozmazane na trzystu zgórą stronicach. Czytelnik francuski— a i obcy — mógłby się obejść bez tej, tak jednostronnej, i bez talentu napisanej, książki, tembardziej, że może korzystać z pięknego dzieła Ch. Yriaste'a o tymże Cezarze Borgii. (W. J.)

*

W praskim miesięczniku rosyjskim *„Centralnaja Jewropa“*, który liczy już sobie cztery lata życia, nieraz spotkać można wszelkiego rodzaju *polonica*, wiadomości sprawozdawcze z piśmiennictwa i ruchu kulturalnego w Polsce. Najwięcej miejsca w tej „Centralnej Europie“ zajmują, rzecz jasna, Czechy; niemniej wielokierunkowa uwaga redakcji pisma coraz to zatrzymuje się wśród innych słowian i na nas.

W tegorocznym nr. 9 miesięcznika, który mamy pod ręką, sprawy polskie referuje p. Kalikin. Z pod jego pióra wyszedł przegląd bieżący naszych pism literackich, — pokłosie zebrane na przestrzeni pierwszej połowy 1831 r. Autor zagaja artykuł słowami: „W Polsce ukazuje się wielka ilość pism, poświęconych zagadnieniom literatury i krytyki, co świadczy o niebywałem zainteresowaniu dla tych spraw w polskiem społeczeństwie. Chlubne tradycje starej polskiej literatury żywo są podtrzymywane. Współcześni pisarze nie ustępują z pozycyj, zajętych przez swych poprzedników, oraz z kolei sięgają po nowe“. P. Kalikin zapoznaje swych czytelników z treścią i zakresem „Ruchu literackiego“, któremu nie skąpi słów uznania, dalej „Pamiętnika Warszawskiego“, „Wiadomości Literackich“, *„Pologne Litéraire“*. Cieszy nas niewątpliwie przenikanie kultury polskiej poza granice państwa; każdy nowy objaw zainteresowania dla spraw polskich u obcych winien być czujnie obserwowany. Dlatego też nieniemile uderza błędna raz po raz ortografja nazwisk polskich na łamach „Centralnej Europy“, wynikająca z pośpiesznej „transliteracji“ alfabetów i niedopatrzeń korekty.

W tym samym zeszycie znajdujemy notatkę recenzyjną tegoż autora o warszawskim „Przeglądzie Filozoficznym“, 1931, zeszyt I. (T. M.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OSTATNIE pięterko u Baryczków zapełnił swemi pracami p. Józef Klukowski. Są to rysunki zwierząt, przeważnie egzotycznych, wykonane jako szkice z natury. Trafność obserwacji w takich wypadkach gra rolę decydującą i ona powinna wpływać przedewszystkiem na ukształtowanie formy. Na technikę zaś wpływa czas (pośpiech), gdyż, jak wiadomo, zwierzak nie pozuje zbyt grzecznie. Klukowski rysuje zręcznie i odbywa się to — mam wrażenie — kosztem prawdy: skoro jakaś linja smacznie mu się położy, nie zmienia jej, choć nie trafia jeszcze w sedno rzeczy. To też niewiele tu podpatrzenia natury. Wszystkie prace, pieczołowicie podane, opatrzone zostały odciskiem paluszka artysty, w czerwonym tuszu. Dotychczas ten zwyczaj tradycyjnie był stosowany w urzędzie śledczym.

*

W salonie „Sztuka i reprodukcja“, wystawia major W. P. Jan Szczepański. Pan major jest, jako artysta, amatorem, nie można więc rozpatrywać jego prac pod takim kątem widzenia, jak obrazów zawodowca.

*

Zofja Stankiewicz wystąpiła z kolekcją akwarel i akwafort w „Zespole Polskich Artystów Plastyków“ przy ul. Marszałkowskiej. Jako temat przeważają widoki naszego morza.

*

Marja Berezowska i Kazimierz Cykowski otwarli swe wystawy u Garlińskiego dn. 1-go grudnia. W lokalu „Ładu“ (gmach Hotelu Europejskiego) prezentuje swój dorobek artystyczny, po powrocie z zagranicy (Francja) Jen Golus. Obszerniej o tem w następnym numerze.

W. P.

NOWE KSIĄŻKI

Voelpel Ryszard. Naokoło świata. T. I. Wyprawa do piramid. Boston 1931. Wyd. „Przeglądu Tygodniowego“. Str. 158.

Suchodolski Bogdan. Idea postępu. Z zagadnień kultury współczesnej. Warsz. 1931. Nakładem Stow. Chrześcnarodowego nauczycieli szkół powsz. Skład w Domu Książki Polskiej. Str. 32.

Drzewiecki Piotr. Pouczające wzory. — O wychowanie gospodarcze. Warsz. 1930. Wydaw. Ligi pracy. nr. 62 i 63.

Stanisław Przybyszewski. Księga pamiątkowa, 26. IX. 1931. Poznań 1932. Str. 71 z ilustr.

Balzac. Podróż do Polski. Przełożył Tadeusz Żeleński. (Boy). Warsz. (1931). Bibl. Boya. Str. 109.

Polskie Pomorze. Tom II. Przeszłość i kultura. Praca zbiorowa pod red. Józefa Borowika. Toruń 1931. Nakładem Instytutu Bałtyckiego. S. 224 (2 ilustr.)

Pia Górska. „O Chełmońskim“ — wspomnienia. Gebethner i Wolff. Warsz. 1932. Str. 124 z 8 ilustr.

Steffen Augustyn. Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji. T. I. Wstępami zaopatrzyli J. Bystroń i K. Nitsch. Poznań 1931. Nakładem Tow. Pomocy dzieciom i młodzieży pol w Niemczech. S. XIX i 252.

Fazy Max. *„Un visage latin tourné vers l'Asie. La mission singulière de la Pologne“*. Moulins 1930. S. 108. (Poemat)

Szwjcarja. „Przegląd Współczesny“, mies. w Krakowie, sierpień—wrzesień 1931. (Dzieło zbiorowe pisarzy szwajcarskich). S. 368.

Naskręcki Kaz. Krótkie nauki o prawdach wiary katolickiej. T. I: *Credo* Cz. 1 i 2. Warsz. 1931. „Kronika Rodzinna“. S. 194 i 222.

Bar Adam. Zapomniany powieściopisarz lwowski (Walery Łoziński). Lwów 1931. Ossolineum. S. 105.

Zamorski Jan. Dom Polski w Bielsku. Bielsko 1931. Tamże. S. 16.

Koniński Karol L. Robotnik bibljofilem. Przyczynek do bibljofilstwa na Śląsku. Kraków 1931. Odbitka z *„Silva rerum“* VI. 1931. (w 25 egz). S. 6.

Diplomaticus. Niemcy bez złudzeń. Warsz. 1931. F. Hoesick. S. 190.

Kasy chorych w Polsce a marnotrawstwo. Rezultat ankiety „Ligi pracy“ Warsz. 1929. S. 24.

Jak powstała, czem jest i co robi Rada organizacyjna Polaków zagranicą. Warsz. 1931.

Piszczkowski Miecz. Ignacy Krasicki, La Rochefoucauld i La Bruyère Lwów 1930. Odb. z „Pam. Lit.“ S. 9.

Staryszak Józef. Prawo nadzoru nad administracją samorządową w Polsce. Rozprawa doktorska. Z przedmową prof. B. Wasiutyńskiego. Warsz. 1931. Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego. S. 171.

Szpotański Stanisław. Wróżka. Powieść. Gebethner i Wolff. Warsz 1931.

Ostrowski Jerzy. Kobuz. Powieść. Tamże.

Kleszczyński Zdzisław. Tyran. Powieść. Tamże.

Palestra. Organ adwokatury stołecznej. Warsz. paźdz.—listopad.

Zarębski Franc. Stan faktyczny przymusowych ubezpieczeń od ognia w Polsce. Warsz. 1931. „Przewodnik Ubezp.“ S. 52.

OFENSYWA

KARJERKA „ZIMORODKA"

RAZ o czemś zupełnie innem, niczem z politycznościami niezwiązanem, całkiem daleko za peryferją zainteresowań stołecznych leżącem, a jednak dość interesującem, a przedewszystkiem zabawnem.

Taki telegram w pismach:

„GDYNIA. (Pat). Wczoraj w Szkole Morskiej, przy wypełnionej po brzegi sali, odbył się odczyt profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, dr. Limanowskiego, zorganizowany przez Instytut Bałtycki, pod tyt.: „Musimy stworzyć światopogląd morski".

Na odczyt przybył szereg wybitnych osobistości, m. in. komisarz generalny Rzeczypospolitej w Gdańsku, min. Strassburger, gen. Górecki, kom. Unrug, dyrektor Urzędu Morskiego, kom. Poznański, dyrektor Żeglugi Polskiej, Rómmel oraz szereg wybitnych przedstawicieli sfer gospodarczych".

Na pierwszy rzut oka taki telegram nic nikomu nie mówi; nikt mu nie poświęci ani jednej minuty zastanowienia i przemyślenia.

Dla badacza naszego życia publicznego i obyczajowego atoli taki pozornie sobie nic nie mówiący telegram mówi... tomy...

Jest sobie odczyt. Ni stąd, ni zowąd w Gdyni taki odczyt. Na odczyt przybywa wyjątkowo samochodami „szereg wybitnych osobistości" ze świata urzędowego z komisarzem generalnym Rzeczypospolitej na czele. Jest i generał Górecki... Zaczem musi być coś ważnego. Czemu przybyli tak ostentacyjnie? To coś musi znaczyć? Odczyt wygłasza syn Bolesława Limanowskiego. Ojciec dziewięćdzięsiociokilkoletni *great old man*, pisarz, historyk, cieszący się szacunkiem nietylko swej partji (P. P. S.), ale całego narodu, wogóle: Polaków. Jest w opozycji do okkupantów sytuacji i dawał temu kilkakrotnie stanowczy i ostry wyraz. Ma dla nich odrazę i pogardę. Charakter nieposzlakowany, biblijny, patrjarchalny, najczcigodniejszy.

Syn z całkiem innej gliny. Zaparł się ojca ideowo i politycznie. Za to dostał nagrodę. Jest profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego. Profesorowie Ehrenkreutz, Bosowski i Ruszczyc uważają go za wielkiego i natchnionego reformatora teatru. Woźni uniwersyteccy na jego „konferencjach" stoją osłupieni i przygnieceni przepastnem znawstwem i kolosalną wiedzą. Słuchaczki z pierwszego roku przyrodoznawstwa płaczą nad tem, że Polska mało poznała się na jego posłannictwie i misjonarstwie, podczas, gdy znowu krowienty, perukarze i krawcy teatralni opowiadają sobie na ucho, że ten recenzent z pierwszego rzędu będzie lada chwila kandydatem do nagrody Nobla za „odkrycia, jakie porobił w teatrach". Ostatnio znowuż tak świat teatralny w Słominie, Grodnie i Poniewieżu, jak i świat uczonych i uczących się z wszech-nicy Stefana Batorego wprost oszołomiony jest Limanowskiego geologa znawstwem morza, marynarki wojennej i... rybołóstwa oceanicznego.

Najdłużej i najuparciej funkcjonuje jako teatrolog. W tym charakterze pętał się i plątał całe lata koło Osterwy, jako misjonarz „Piękna Czystego" i olśniewacz narybku aktorskiego. Koleżanka Goldberżanka dawała słowo honoru, że Miriam daleko „mniej zna się na Norwidzie", niż nasz Limanowski, kolega Zweifuss zapewnił, że Liman ma „głębsze podejście" do reformy teatralnej od Tajrowa, Wachtangowa, Piccatora, a znowuż koleżanka Sigrid Spirówna twierdziła z uporem, że jej obiecał Limanowski rolę Elektry w tragedji, inscenizowanej przez siebie na tle ruin zamku w Trokach... Wobec takiego znawstwa twórczości dramatycznej i kunsztu aktorskiego dobrze się stało, że profesorowi geologji Limanowskiemu powierzono pisanie recenzyj w wileńskiem „Słowie". Aczkolwiek niby radykał przyjął tę propozycję w konserwatywnym dzienniku, byle tylko mieć okazję i miejsce, gdzie może się wygadać, wypisać, wypinać i wiercić dziury w brzuchu swoją *talmiquasi*-erudycją. Lektura tych recenzyj Limanowskiego daje amatorowi „perweśnych" emocyj intelektualnych moc uciesznych momentów. Weselsze to czasem od „Cyrulika", nie tyle Sewilskiego, ile Semilskiego. Limanowski choć od X lat w tem się pławi i pluska, niema o teatrze i o dramacie nadal i na złość najmniejszego pojęcia. O farsie Clem. Vautela jest w stanie (i to nie podchmielonym) wypisywać takie „głębie", jak o misterjum Claudela. Po każdej premjerze poczciwie nadyma się, zablagowuje tak obłędnie, że zachodzi obawa: aby tylko nie pękł. Teren i środowisko dość widocznie pierwotniackie pozwalają mu na używanie częste słów tak egzotycznych, a imponujących gromadzie, jak „chejrosyfon" (5 razy), „funambulesk" (3 razy), „pozaliccio" (2 razy), „sonorycznie" (1 raz). Obcemi słowami steirminami „Zimorodek" operuje całkiem dowolnie w swych „egzegezach" krytycznych, które są poprostu sieczką słowną „natchnionego" *bluff*'u. W konfrontacji z Żeromskim, Micińskim, Wyspiańskim, Słowackim, Liman wpada w istny szał mistyfikatorski, jako już nie koneser, a „jasnowidz" i kapłan Sztuki, wieszcz krytyków i krytyk wieszczów. I wtedy jest najzabawniejszy. Wtedy niektóre słowa, jak np. zwykły klucz w „napięciu transu wizyjnego" pisze wielką literą: „Klucz".

Oczywiście i to jeszcze i to wszystko nie byłoby powodem do zaprzątania czytelnika osobistością „regjonalną", która promienuje sobie na małej parafji. Tem by jeszcze nie zasługiwał na wyróżnienie. Chodzi jednak o co innego. Pan Limanowski zarobił sobie na prześwietlenie czem innem. Pan Limanowski z coraz większem zacietrzewieniem uprawia sobie i propaguje w Wilnie jakiś separatyzm kultnralny. Raz po razu ten geolog-teatrolog rozparty tam na swych stolcach wydziwia sobie na Warszawę. Oburzaliśmy się wielokrotnie na krakowskiego „Ikaca" („Ill. Kur. Codz.") za to manjakaliczne urąganie i pomstowanie na stolicę. W to samo bawi się też i ten „chejrosyfon funambuleskowy" ze „Słowa". Warszawa się na nim „nie poznała", więc mu Warszawa chronicznie nie imponuje..- „My tu w mieście Mickiewicza mamy wzrok pogłębiający"... „Tu działa kolumna *(sic)* ducha sprawniej"... „W sali gmachu pobazyljańskiego nastąpiła elewacja (?) zbiorowa"... „szkiełka warszawskie"... „*made in Warszawa*". I t. p. i t. d. I ciągle jakieś pretensje i jakieś żale, i jakieś napuszania się, i podbijania megalomanji lokalnej, podlizywanie się środowisku, „naplewaniem" na stolicę koroniarzy i podbechtywaniem do... emancypacji. Tak się zarabia na popularność podwórzową.

Co się zaś tyczy tego „światopoglądu morskiego" (odczyt w Gdyni), to także *bluff* i groteska. Zimorodek (reformator teatru) nic nigdy z morzem nie miał wspólnego. Skąd więc nagle ta fumisterja? Ot „kult niekompetencji", jak u nas wszędzie i we wszystkiem, Generał Dreszer prezesem „Ligi Morskiej i Kolonjalnej" (*sic!!*) a prof. Limanowski „stwarza światopogląd morski".

Na „odczyt" zaś kabotyna — gadały zjeżdzają się demonstracyjnie matadory Imperatowej Sanacji. Chyba tylko dlatego, aby nagrodzić i uczcić syna za to że się zaparł ideologji ojcowskiej.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Po zamknięciu „Dziennika Wileńskiego" opinja Wileńszczyzny znalazła się niepodzielnie pod rządami publicystycznemi pism żydowskich i polskich filosemickich. Sanacyjny organ „Słowo" daje głos takiemu myślicielowi, jak p. Stan. Wańkowicz, który tak rezonuje:

„Czy możemy się obejść bez handlu żydowskiego? Odpowiedź na to jest jedna: — stanowczo nie. Ani handlu, ani kupca stworzyć raptownie nie można".

Raptownie! Już od paru stuleci Polska prosi Wańkowiczów, aby się zajęli rozwojem mieszczaństwa polskiego...

Przypomina się anegdota mazurska o parobku, którego wysłano do miasteczka po drożdże przed Bożem Narodzeniem. Niedołęga wrócił dopiero na Wielkanoc i, potknąwszy się na progu, rozbił butelkę z drożdżami. „Co nagle, to podjable" — mamrotał.

Wańkowicz, jednak—to „kepełe" nielada. Bo potknąwszy się o bojkot, dodaje w końcu:

„Kto chce, by przemysł i handel był wyłącznie polski, niech go organizuje, a gdy tego dopnie, wówczas wszyscy chętnie pójdziemy do swoich po swoje".

Kto chce... A możeby i Pan, kochany panie Wańkowicz, zechciał? Oczywiście, jakby handel był wyłącznie polski, toby Pan musiał do niego pójść chętnie, czy niechętnie. Ale Pan powiada, że „bez handlu żydowskiego stanowczo nie możemy się obejść"... Kiepsko jakoś z tą logiką smorgońską.

*

Wydział oświatowy Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych A. P. ogłosił w broszurze sprawozdanie ze swej działalności za lata 1928 — 1931. Na str. 11 między zasiłkami, jakie Wydział ze skromnych swych funduszów (z drobnych składek emigrantów) przeznaczył na cele oświatowe w kraju, figuruje pozycja:

„Wydatki reprezentacyjne p. W. Sieroszewskiego na Zjeździe naukowym im. Jana Kochanowskiego w Krakowie — dolarów 50".

Czy nie zbyt kosztowna taka reprezentacja, zwłaszcza że okazyjna, p. Sieroszewski bowiem reprezentuje urzędowo daleko obfitsze fundusze, niż te, któremi rozporządza emigrant polski w wydziale oświatowym.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.